

P. PELOT - T. LIBERATORE - Y. COPPENS

MARZENIE LUCY

Przekład z francuskiego

KRZYSZTOF KOWALSKI

OFICyna WYDAWNICZA „KALLIOPE' WARSZAWA

PRZEDMOWA DO POLSKIEGO WYDANIA

— Słuchajcie, dlaczego nie możemy nazwać ją Lucy? — spytał ktoś z uczestników ekspedycji wykopaliskowej, której członkowie właśnie słuchali piosenki Beatlesów *Lucy in the Sky With Diamonds*. Propozycja została przyjęta i w ten właśnie sposób jedne z najsłynniejszych szczątków kostnych istoty praludzkiej oznaczone symbolem AL 288 (tj. Afar Locality) otrzymały imię własne. Drugie jej imię, mniej znane, brzmiało *Denkenesh*, co w języku używanym w Etiopii oznacza *jesteś Cudowna*". Imię to w pełni oddaje euforię odkrywców oraz antropologów zajmujących się badaniami genezy człowieka. Trzecie, tym razem w pełni naukowe, imię brzmiało: *Australopithecus afarensis*.

Wszystko to działo się w listopadzie 1974 r. podczas prac wykopaliskowych międzynarodowej ekspedycji (International Afar Research Expedition) w miejscu zwanym Hardar w pobliżu rzeki Awash w Etiopii. Antropolog Donald C. Johanson i absolwent Tomy Gray eksplorując wyschłe żleby afarskich pustkowi natrafili na kopalne kości hominidów. Kiedy zebrano wszystkie szczątki razem, okazało się, że ponad 40% kości pochodzi z jednego osobnika, kobiety zmarłej w wieku około 20 lat, która miała wzrost 1,10 m i ważyła 30 kg. Na podstawie pomiarów potasowo-argonowych bazaltów wulkanicznych, poniżej których znaleziono wspomniane szczątki, datowano je na 3,5—3 mln lat. To była sensacja! Dotychczas nie udało się jeszcze odkryć w miarę kompletnego szkieletu hominida wcześniejszego niż 100 tysięcy lat. Wykopalisko to zrewolucjonizowało dotychczasowe poglądy na pochodzenie człowieka. Pracowicie budowane przez dziesiątki lat przez uczonych drzewo genealogiczne gatunku ludzkiego rozpadło się pod naporem nowych danych. Niewielki wzrost Lucy, „małpi” kształt żuchwy, przeciwstawny kciuk kończyn dolnych wskazujący na nadrzewny tryb życia oraz długie w proporcji do wysokości ciała kończyny górne - wszystko to czyniło z niej formę bardziej archaiczną niż australopitek. Cechy ludzkie Lucy — całkowicie ludzka przystosowana do dwunożnej lokomocji budowa stopy, „ludzka” budowa czaszki i zębów - kontynuowane były potem w linii rozwojowej *Homo*, wiodącej od niej poprzez *Homo africanus*, *Homo habilis* i *Homo erectus* aż do *Homo sapiens*. Lucy była także poprzedniczką takich form jak *Australopithecus robustus* i *Australopithecus boisei*, które żyły około 2 mln lat temu równolegle do *Homo habilis* i nie były bezpośrednimi przodkami współczesnego człowieka.

Jak powstał człowiek? Na to dręczące ludzkość pytanie z całą pewnością swych racji odpowiadają tylko wszystkie istniejące w ciągu setek tysięcy lat systemy magiczno-religijne. Nauka żądająca dowodów systematycznie posuwa się krok za krokiem do poznania Prawdy. Jej gwałtowny rozwój wymaga ciągłego uaktualniania i przewartościowywania utartych poglądów i zdawałoby się niepodważalnych praw.

Dlatego też nowe odkrycia wywołały wiele sporów i dyskusji w świecie naukowym. Narodziły się nawet teorie kwestionujące podstawowe aksjomaty antropogenezy głoszące, że australopiteki są przodkami gatunku ludzkiego, i podważające pozycję Afryki (na korzyść Azji) jako kolebki ludzkości.

Nie wdając się w szczegóły tych rozważań, przyjrzyjmy się życiu naszej wspólnej przodkini. Autorzy książki *Marzenie Lucy* podjęli się sprostac problemowi przekazywania niefachowym odbiorcom wyników naukowych rewelacji. Przyjęli niekonwen-

cjonalną formę przekazu, gdzie obok zgrabnie zrekonstruowanej historii kilku dni życia osobnika zwanego Lucy oraz pięknych ilustracji, w sposób przystępny napisany został rozdział dotyczący naukowej wizji powstawania człowieka. Jego autorem jest profesjonalista, antropolog Y. Coppens, który brał udział we wspomnianej ekspedycji wykopaliskowej w Etiopii.

Czy pisarska rekonstrukcja losów Lucy, a szczególnie jej sposobu postrzegania świata jest słuszna? Czy tak żył praczłowiek? Kim była Lucy jako członek stada australopiteków? Co czuła? Jak myślała i czy w ogóle myślała?

Stwierdzenie, że tylko człowiek jest jedyną znaną nam materią, która uświadomiła sobie swoje istnienie, mogło być słuszne do chwili, kiedy okazało się, że świadomość taką posiadają również szympansy (badania Gardnerów z szympanaicą Washoe). Opanowawszy zbiór około 160 znaków głównie wizualno-gestowych ASL (tj. amerykańskiego alfabetu dla głuchoniemych) potrafią przekazać sobie za ich pomocą informację o swoich pragnieniach, uczyć tego języka swe potomstwo, a nawet tworząc nowe zestawienia znaków, przeklinać ze złością inne małpy lub swych opiekunów, gdy ci nie zaspokajają ich potrzeb gastronomicznych. Szympanaicą Sara (badania Premacków) nauczyła się poprawnie posługiwać zestawem 130 znaków wyrażających rzeczowniki i czasowniki, pytania, prośby, tryb warunkowy, przyimki, układając hierarchicznie zorganizowane zdania. Wszystkie te odkrycia stawiają przed człowiekiem zgoła nieoczekiwane pytania, np. jeśli małpy mają świadomość swego istnienia, to czy mają one duszę? Wielu właścicieli koni, psów czy kotów nie ma co do tego żadnych wątpliwości. My natomiast pozostawiamy te delikatne sprawy teologom, którzy już w przeszłości (VIII w.) dowiedli, ku zmartwieniu niektórych mężczyzn, że kobieta ma również duszę i że duszę posiadają także poganie mieszkający na zamorskich kontynentach w epoce odkryć geograficznych.

Wróćmy do naszej Lucy. W niezwykle sugestywnej i trafnie opowiedzianej historii P. Pelota Lucy żyje w czasach, gdy nic nie było jeszcze nazwane, nic nie miało swego imienia, a postrzegana rzeczywistość była zbiorem obrazów i zapamiętanych funkcji. Lucy żyje więc pod niebem określanym jako „wielkie rozpostarte ponad”, gdzie jest „światło olśniewające i okrągłe ukazujące się i chowające” i „światło odłamane” oraz „skąd spada woda” lub gdzie jest „niewidzialny oddech tego, co mocno dmucha”. Jej horda, w której żyje, to „ci, co chodzą wyprostowani”. Jej stado składa się m.in. z „tego, co chodzi najszybciej”, „tej z grubymi piersiami, która idzie za tym, co chodzi najszybciej”, „tego, który nie ma koloru do patrzenia”. Lucy zna „bzykanie małych rzeczy koło twarzy”, czuje „mocne uderzenia wewnątrz siebie”, „zjada obrazy” zapamiętując wszystko, co widzi i czego doświadcza. Wie, że niektórzy „zасыpiają, aby się nie obudzić”, a w ich ciałach „ukrywają się pień i gałęzie drzewa”.

Napawa ją lękiem spotkanie z „innymi”, którzy są podobni do niej, a jednak fascynująco odmienni od członków jej hordy. Jest bardzo kobieca w swych odruchach, w swej niepohamowanej ciekawości.

O czym marzy nasza praprapradzicielka? Jej pragnienia okazują się rozczulająco analogiczne do pragnień wszystkich kobiet żyjących w ciągu trzech milionów lat, które minęły od jej śmierci. Jakie było to jej uczłowieczające się życie? O tym wszystkim mówi książka P. Pelota, T. Liberatore i Y. Coppensa pięknie przetłumaczona dla polskiego czytelnika przez K. Kowalskiego.

Dr JERZY T. BĄBEL Państwowe Muzeum Archeologiczne

EKSPERYMENT

Wraz z „Marzeniem Lucy” proponujemy Państwu zagłębienie się w świat zaginiony, w świat bez historii w skali pokoleń, które podlegają jej oraz kształtują ją... nieśmiało. Wydawało nam się, że nawet w niezmierzonej otchłani czasu, gdzie milion lat jest tylko jednostką obliczeniową, nawet pojedyncza osoba nie może uniknąć zawieruchy życia. Lucy z pewnością żyła bez wierzeń, bez prawdziwego imienia. Ale czy dlatego musiała być bez tożsamości, bez pamięci, bez zamiarów? Wyrwana wcześniej (miała zaledwie dwadzieścia lat) z niepewnego losu, wpisała się na zawsze jako mimowolny hieroglif w sprasowany torf Rift Valley, dostarczając - między innymi

- potwierdzenia jedności rasowej gatunku ludzkiego. Dokonania mniej doniosłe bywają czasami obiektem bardziej okazałego upamiętnienia. Nasze poczynania zmierzające do tego, aby przetrwało o niej wspomnienie, są w zamyśle serdeczne i skromne.

Niniejsza książka jest rezultatem miłości do tej odległej przodkini, miłości dzielonej przez trzy jakże szczęśliwie zróżnicowane osobowości. Są nimi: naukowiec - Yves Coppens, rysownik - Tanino Liberatore, pisarz

— Pierre Pelot.

Nasze zadanie polegało na stworzeniu tym trzem zakochanym warunków do dialogu. Wraz z nimi nawiązujemy cierpliwy i stały kontakt pomiędzy dwoma światami: obszarem sztuki i obszarem nauki, niesłusznie uważanymi za przeciwstawne.

Nie chcieliśmy, żeby nasze działania ograniczały się do prostego ubierania odkryć naukowych w kostium wyobraźni. Fikcja zarówno fabuły jak i rysunku nie powinna być odbierana jako „miód” fantazji pokrywający „gorycz” doświadczalnych faktów. Całość powinna być jednorodna, a połączenie intymne.

Otóż wytworzeniu takiej intymności służyło ożywienie wymiany doświadczeń pomiędzy antropologiem i artystami. Aby to osiągnąć, każdy z nich zgodził się zaryzykować. Naukowcowi zagrażało poetyckie wyjaśnianie faktów, a więc możliwość zdrady swoich badań. Artystom groziło z kolei ograniczenie w

pracy, konieczne poszanowanie obiektywnych informacji w akcie, podczas którego tworzenie domaga się pełni swoich praw do emocji. I tak oto, wychodząc od danych dostarczonych przez Yves Coppensa, grafik i pisarz - każdy z nich - zaproponowali interpretację, obrazy, sceny fabularne. Zostały one przedłożone opinii naukowca, który zgodził się osądzać jedynie trafność elementów dotyczących jego dyscypliny, pomimo że ciekaw był odkrycia, w jaki sposób przeobrażają się one w fikcję. Krytyka i propozycje zostały wzięte pod uwagę przez autorów. W ten sposób, podczas prac koncepcyjnych nad niniejszą książką, Tanino

10

I

Liberatore i Pierre Pelot nabyli podstaw wiedzy antropologicznej, co sprawiło, że rysunki i tekst zawierają tak mało błędów, jak tylko to jest możliwe. Yves Coppens, ze swej strony, spojrział w sposób emocjonalny na „swoją” bohaterkę. Ta, która była dla niego prawie niema, przybrała postać i stworzyła fabułę. Nie ulega wątpliwości, że te pracowite seanse były chwilami wielkiej inteligencji. W ich trakcie mieszały się sztuka wiedzy ze sztuką literatury i grafiki.

Rezultatem tych poczynań musiała być z konieczności hybryda. Sądzimy, że ta hybrydyzacja jest płodna, porównywalna z tą, jakiej dokonują uczeni w swoich pracowniach, krzyżując gatunki. Rezultat takich poszukiwań bywa nazywany „chimerą”. Otóż, przy udziale takich chimer, zrodzonych z wyobraźni i wiedzy uczonych, dokonuje się proces wyjaśniania tajemnic wszechświata.

„Marzeniem Lucy” usiłowaliśmy stworzyć nowy gatunek: „opowieść naukową”. Chodzi o kategorię literacką odmienną od science-fiction, nie opartą na skrajnych spekulacjach czy zawodnych parabolach, lecz proponującą rozrywkowe podejście do wyników badań naukowych, do wiedzy. Być może obcowanie z „opowieścią naukową” będzie dla niektórych pierwszym krokiem do głębszego zaznajomienia się z nauką. Wydaje nam się konieczne, aby jak największa liczba ludzi - w braku możliwości przyswojenia sobie całej wiedzy produkowanej przez badaczy - dysponowała rozsądnymi wytycznymi do tego, do czego doszła nauka. Niewątpliwie chodzi tu o wielką stawkę, o kształtowanie obywatela. Żeby decydować w zmieniającym się świecie, trzeba wiedzieć, trzeba rozumieć. Nie ma ani wyjątkowej drogi, ani drogi uprzywilejowanej wytyczonej pomiędzy wiedzą naukową a szerokim kręgiem odbiorców. Teren musi zostać wykarczowany, ugór zamieniony na rolę poprzez liczne eksperymenty. Z naszego punktu widzenia powiązanie sztuki z nauką należy do najbardziej obiecujących.

Fundacja 93, regionalny ośrodek kultury naukowej i technicznej, mieszczący się w Montreuil, w Seine-Saint-Denis, od wielu lat działa wielotorowo, realizując to, co nosi nazwę „popularyzacji”. Po doświadczeniach z innymi mediami (ekspozycje, środki audiowizualne, wystawy objazdowe) tym razem postanowiono wytyczyć nową drogę, poszukać innych sposobów. Wśród nich - książka jak gdyby narzuca

się poprzez możliwości, jakie oferuje Czytelnikowi, możliwości uczestniczenia „na skróty” w przyjemności opowiadania, w uroku obrazu, w odkrywaniu punktów orientacyjnych tworzących jedną z najbardziej delikatnych dzieł-dzin naukowych, jaką jest badanie pochodzenia człowieka.

Niniejszy eksperyment stał się możliwy dzięki zaangażowaniu Yves Coppensa, Pierre'a Pelota i Tanino Liberatore. Bardzo serdecznie im za to dziękujemy.

Alain Berestetsky i Jean-Michel Morel

II

Z

NAJDOWAŁA się nad brzegiem rzeki. Skwar dnia zaczął pod wieczór łagodnieć, gdy ich woń dotarła do niej, gdy ujrzała ich po raz pierwszy. Przykucnęła na twardych kamieniach stromego brzegu, trawa łaskotała jej uda od wewnętrznej strony. Była tam, patrzyła na wodę.

Bardzo lubiła patrzeć na wodę. Czasami wprawiało ją to w taki stan, jak gdyby usypiała. Ale ona nie usypiała. Zupełnie odwrotnie, miała oczy szeroko otwarte - czuła się doskonale uspokojona, tak jak wtedy, gdy wiadomo, że w tej chwili nie trzeba już czuwać ani obawiać się.

Od kiedy światło powróciło jeszcze raz, było łatwiej i bez niespodzianek. Żerowała. Wszyscy i wszystkie żerowali. Małe, żywione jeszcze przez swoje matki, zostały zgromadzone w dziurze piasku i gorącej trawy, gdzie kamienie były raczej okrągłe niż tnące, pod opieką tego-który-chodzi-powoli. Od pierwszej chwili nowego światła do teraz ani małe, których pilnował ten-co-chodzi-powoli, ani ten-co-chodzi-powoli i przedrzeźniające go małe nie krzyczeły i nie piszczeły dużo. Czasami nie przestają krzyczeć tak długo, że muszą przybiegać matki. I prawie można pomyśleć, iż przechodził tamtędy ten-koloru-ziemi-z-zębami-co-uderzają. Było ciepło i usadowieni w swojej dziurze wszyscy drzemali.

Inne stada, jakie dotychczas mogła zauważyć, których obecność dotarła do jej nozdrzy, nie były z tych, przed którymi ostrożniej jest uciekać. Widziała tych-co-skaczą i co-biegają-tak-szybko-z-gałęzia-mi-na-głowie; nigdy nie robili źle. Wszyscy, którzy sobie przypominają, wiedzą o tym. Teraz ona miała długie wspomnienia... Mniej, niewątpliwie, niż ten-co-chodzi-powoli, ale jednak już dostatecznie dużo.

Była trzecią i ostatnią dorosłą samicą w grupie. Przedtem, gdy była mała (oto rzeczy, jakie sobie przypomina), miała mniej siły, ale

biegała szybciej i skakała wyżej, jak ci i te teraz, którzy przybyli po niej. Trzecia i ostatnia samica, to znaczy, że najpierw, przed nią, jest ta-co-idzie-za-tym-co-chodzi-najszybciej i ta-co-widzi-tylko-je-den-raz. Zawsze je widzi, one jeszcze są. Były inne, ale przestały chodzić, w jednym momencie, i w innym.

Przypomina sobie często, ale nie cały czas. Oczywiście, bywają chwile bardziej sprzyjające. Czasami było tak dlatego, że coś widziała, to, co miała przed oczami, przywoływało inne zagłębione obrazy. Dziwne zjawisko, nie dające się przewidzieć, wywoływało mieszane poczucie przyjemności i obawy - a ona nie rozumiała ani przyjemności, ani obawy, ona nie tłumaczyła tego, ona nie znajdowała żadnego powodu takiej reakcji. Jednakże były to obrazy jakby zakurzone, wyblądłe, tak jak cień zamazuje się na końcu gestów w tym samym czasie, gdy światło na niebie się pochyla. Były to obrazy „zaginione”, które jednakże wynurzały się w niej. Czy tylko dla niej? Czy wszyscy inni znali te same obrazy, te tutaj, czy raczej każdy miał własne?

Ten, kto jest jeden raz, jak minie, nie staje się padliną i miękką zgnilizną tak jak drzewo i wszystkie inne żyjące rzeczy; nie, są obrazy, a one tylko wymagają, żeby je widzieć, przyjmować, przygarniać. Obrazy pływają na wietrze, w oddechu tego-co-moc-no-dmucha-i-nigdy-go-nie-widać. Obrazy chronią się w brzuchu tego, kto je zjada; wystarczy im przykleić się do korzeni, do liści, wszędzie. Może nawet połyka się je po prostu oddychając.

Bywały chwile, gdy wspomnienia nie wywoływało nic, to znaczy nic widzialnego przypominającego. Na przykład patrzenie na wodę, ruchliwą i migotliwą, jak cieknie z cichym odgłosem, który robi, i pachnie tak szczególnie, że nie ma niczego takiego gdzie indziej; i oczywiście nie ma tam, gdzie nie ma wody. Zapachy chwili powiedziały jej, że ciepło ciąży od dawna, nie tylko tutaj, ale dalej, na pewno bardzo daleko, tam skąd przybywa woda. I jeszcze długo będzie ciepło, ponieważ w wodzie nic się nie zmieniło. Woda, która nie była wysoko, musiała być istotą. A wysoko był tylko jeden kolor.

Wszyscy wiedzieli, że nic się nie zmieni przez długi czas. Wszyscy potrafili czytać z wody biegnącej po ziemi i wysoko - z koloru nieba i z oddechu tego-co-dmucha-mocno-i-nie-wi-dać-go.

Urywane szmery przemykały wokół niej, wraz z woniami martwych traw, odkrytego piasku na środku rzeki, wraz z zapachem

szlamu oblepiającego ogołoczone kamienie. Czasami zjawiały się małe strzępki piany, prawie nic, na płaskich grzbietach niektórych fal, zawsze takich samych, rodzących się, by natychmiast umrzeć, z zadziwiającą regularnością. Bez końca.

Spoglądała na fale, na bańki piany, towarzyszyła im bulgocząc śliną pomiędzy zębami i wpółotwartymi ustami. To było podobne, takie samo. To była ślina z wody. Być może woda ciekąca z pluskiem była długą żyjącą rzeczą, wypluwającą po drodze swoją ślinę, długą rzeczą przybywającą z daleka, która idzie daleko, która przechodzi tędy.

Nigdy nie widziała ani początku, ani końca wody, tak jak można zobaczyć czasami początek i kres jakiejś żywej istoty - gdy potem zostają tylko obrazy, które się zjada i które przyklejają się w brzuchu, żeby stać się wspomnieniem.

Słuchała. Z rzadka przestawała bulgotać między zębami śliną wypełniającą usta, tak jak przestawała oddychać, gdy bańce za-grażało pęknięcie. Bańka pękała. Strużka śliny ciekła po szorstkiej sierści,

zweźla się na brodzie, wyciągała, coraz cieńsza za ciężką kroplą, lśniła jak nić pajęczyny w chłodzie brzasku, aż do urwania kropelki, teraz małej, przyczepionej i połyskującej jeszcze chwilę w mniej szorstkich włosach na piersiach. Słuchała. Wokół szemrało nieskończenie wiele nikłych odgłosów, ciepło pełzało w trawach i pod pierwszą warstwą kurzu pokrywającego ziemię. Dobrze wiedziała, że ci, którzy wydawali te odgłosy, byli prawie tak liczni jak kamienie w rzece lub jak chwilowe fale wody. Znała ich od dawna, od kiedy była całkiem mała. Następnie ona z kolei uczyła małe, które wyszły z jej grubego brzucha, gdy znalazły się w wieku do słuchania i czuwania. Uspokajała je, pokazywała im to, co roi się wszędzie, gdy jest ciepło. Było tego wyraźnie mniej i było idealnie cicho, gdy woda spadała z wysoka. Te małe stworzenia zdawały się niezbyt lubić wodę. Oczywiście często widywało się je pływające, po powierzchni, przy brzegach, a te żyjące pod wodą przybywały je zjadać, chap, jednym kłapnięciem pyska... One wołały ciepło, sucho. Wtedy trzeba było ich słuchać, jak skrzeczą ze szczęścia, w przeciwnym razie schowają się, zamilkną.

U jej stóp uwijały się dwie równoległe kolumny czarnych mrówek. Jedna kolumna szła w jedną stronę, druga w przeciwną. Małe stworzenia z jednej kolumny niosły okruchy liści, żdźbła; te w drugiej kolumnie nie niosły nic. Czasami zderzały się, z lekka

zabawy wydobył się z jej ust. Potem wyprostowała się, ostre trawy sięgały jej do oczu - zjada się tylko tę ich część, która tkwi w błocie. No więc, ich obecność dotarła do jej nozdrzy, nieco później zobaczyła ich po raz pierwszy.

Wyprostowana zastygła, ramiona opuściła wzdłuż tułowia, z palcami lewej dłoni jak gdyby pieszczącymi łodygi traw, potem znieruchomiałymi. Dreszcz przebiegł jej wzdłuż pleców, pod po-włoką miękkiej rudawej sierści drżały mięśnie.

Nigdy nie widziała razem równie wielkiej liczby podobnych. Widząc ich, zdała sobie sprawę, że zawsze sądziła, iż nie można mieć ważniejszej grupy niż ta, w której się urodziła i z którą chodziła. Aż tu, proszę, oto oni, nagle, byli prawie tak liczni, jak gromada tych-co-skaczą-i-biegają-szybko-z-gałęziami-drzewa-na-czole.

Znajdowali się jeszcze o wiele za daleko, żeby mogła ich wyraźnie rozróżnić. Ale ich obecność docierała do niej, niesiona lekkim i ciepłym tchnieniem tego-który-dmucha-i-nie-widać-go.

To był zapach krwi, gnijącego mięsa, twardniejących odchodów. Tak jak zapach wielu czarnych czterech-łap-ze-lśniącą-skórą albo ty ch-z-zębami-co-uderzaj ą.

A jednak oni byli wyprostowani. Prawdopodobnie tacy sami, według tego, co mogła widzieć, i częściowo sądząc także po zapachu.

Nie rozumiała.

Ani przez chwilę nie zamierzała uciekać, nie bała się tych „innych”, którzy dopiero co pojawili się poniżej wzniesienia czerwonej ziemi, na przeciwnym brzegu rzeki roziskrzanej girlandami wody.

Była tą-która-długo-pozostaje-sama i długo pozostawała tak, żeby obserwować, jak się zmieniają właśnie tam. To było trochę tak, jak gdyby przebudziła się ze snu, gdy przypomniała sobie swoich.

S

PĘDZIŁA dużo czasu na obserwowaniu ich, poprzez trawy i ponad trawami. Usiłowała możliwie najbardziej nasycić się ich zapachem i obecnością. Od długich chwil pozostawała tam, na niskim brzegu, w postawie praktycznie zastygłej, z półprzy-mkniętymi powiekami, z głową uniesioną tak, że aż na karku zrobiła jej się gruba fałda. Wdychała obecność tych innych, nigdy nie widzianych. Nigdy nie widziała dalej niż to, do czego mogła powrócić w sobie obrazami, przez całe życie - a jej życie zawiera kolejne obrazy pory gorącej i pory wody-z-nieba, co najmniej równie liczne jak palce jej rąk i jednej nogi... Ale ona nie wie, ile obrazów utkwilo w jej brzuchu, gdy była mała... Albo jest bardzo możliwe, że nie umie się zjadać obrazów tak jak należy, gdy się jest małym... Ale w końcu— to już długie życie... A to, co ona wie o swoim życiu, o swoim wieku, to co widziała, częste następujące po sobie światło i mrok, światło wschodzące i zachodzące, chłód i ciepło, woda mocno płynąca po ziemi albo leniwie i woda spadająca z nieba, światła olśniewające i okrągłe ukazujące się i chowające ponad ziemią, gdy jest ciemno i gdy jest jasno.

Dwadzieścia lat.

Ale cóż znaczy „dwadzieścia lat” dla jej wspomnień? Nic. Rok, to nie istnieje. To o wiele za dużo dla pamięci i dla świadomości czasu teraźniejszego, która ma tyle, tyle do zrobienia od rana do wieczora i od wieczora do rana. Na szczęście są obrazy.

Coraz bardziej z daleka przywoływała obrazy i coraz bardziej z daleka przybywały obrazy, żeby jej pomóc, żeby spróbować zrozumieć. Ale nie znajdowała niczego takiego jak ci „inni”, a zarazem tacy sami, wyprostowani i odmienni.

To, co rozumiała najmniej, to ich obecność związaną z upor-czywym zapachem krążącym wokół niej w lekkim drganiu ciepła. Gdyby ich nie widziała, gdyby zamknęła oczy, mogłaby pomyśleć,

że w pobliżu są cztery-łapy. Nie jeden, ale wielu, i nie tylko tacy, którzy są do siebie podobni, ale różni, zgromadzeni razem. A tak się nigdy nie dzieje, aby zobaczyć równocześnie tych-z-zębami-co--uderzają i tych-z-sierścią-jak-noc-i-z-oczami-z-kamienia, i tych--z-sierścią-na-grzbiecie-jak-sucha-trawa, i jeszcze nawet tych-z--nosem-do-nieba - o takim zgromadzeniu mogłaby myśleć zamyka-jąc oczy i sądząc tylko po zapachu „innych” nowo przybyłych.

Snuł się zapach gnijących ciał tych, którzy nigdy się nie rzebudzą, chyba że w postaci obrazów.

Nie rozumiała.

Jednakże wszystkie możliwe niebezpieczeństwa kryjące się za pojawieniem się „innych” nie wywoływały w niej żadnych reakcji poza oczekiwaniem, zdziwieniem i cierpliwą nieruchomością. Uważała, że to wygodne do zrozumienia. Ale nie strach.

To była inna dziwność.

Ponieważ na dnie tej woni, jakże naturalnej zwiastunki niebezpieczeństwa, bólu i krwi, łączyły się one tworząc przywołującą nieszkodliwą siłę drążącą rozmiar obrazów. Zapachy stamtąd nie wywoływały obawy, nie szczyrzyły kłów.

Ale strach przyszedł później. Wsącał się stopniowo, gdy raz pojawiła się ostępująca nieufność wywołana nową sytuacją. Strach i towarzyszące mu zdziwienie, i oczywista pewność. Ten sam strach wraz z innymi zdziwieniami, na które nieznane odpowiedzi - o ile istniały - znajdowały się oczywiście tylko z tamtej strony straszliwych przestrzeni, tak jak puste przepaście dotykające stromych stoków niektórych gór. Na ich skraju nie można się ważyć zrobić żadnego gestu, ponieważ od tego kręci się w głowie.

A potem cierpka woń mięsa rozpraszała się. Rozwiewała. Słabła.

Szeroko otworzyła oczy. Światło zeszło niżej na dno nieba. Kto się odbijał w wodzie rzeki, musiał natychmiast zmruznąć powieki. Przez jedną chwilę migotania tańczyły w jej wzroku. Zamruczała, łagodnie, przez zęby, przejawiając trochę zaskoczenia, trochę irytacji, gdy zdała sobie sprawę, że „inni” zniknęli za rażącym oczy światłem.

Bardziej zmruzzyła oczy, przepatrując, omiatając spojrzeniem odległy brzeg i wysokie trawy po tamtej stronie, rozproszone kępy drzew i zagajniki aż do zboczy pierwszych pofałdowań czerwonej ziemi porośniętej wyższymi i gęstszymi drzewami. Bez żadnych wątpliwości, „oni” przybyli stamtąd. Nie czuła bowiem ich obecno-

ści przedtem, nie widziała ich bowiem wcześniej, nie mogli bowiem przybyć skądinąd - i rzecz jasna iść śladem małej hordy, wzdłuż szerokiej drogi wody, na pół wyschniętej.

Czy zawrócili pod osłoną licznych, gęstych drzew na zboczach wysokich ziem? Oczywiście, możliwe, ale nie wierzyła w to. Z jakiego powodu zbliżyli się do rzeki i dlaczego mieliby się nagle od niej oddalić, nie robiąc nic innego jak tylko powłóczywszy się chwilę?

Jeżeli widzieli członków hordy, z pewnością nie obawiali się. Oni byli - naturalnie z tego, co można zobaczyć i wnioskować z siły woni ich obecności jeszcze wtopionej w nozdrza - jak horda była wiele razy po tej stronie rzeki. Wiele razy.

Poruszyła się. Cofnęła o kilka kroków, zgięta, dlatego znalazła się uniesiona na niewielką wysokość ponad poziom wody. Ale niczego lepiej przez to nie zauważyła. Po tamtej stronie falowały wielkie trawy zmieniające barwę, tam rosły drzewa, a w ich gałęziach gnieździło się mnóstwo

tych-co-ślizgają-się-ponad-ziemią-na-swo-ich-wielkich-lekkich-ramionach. Było wiele drzew, aż do samego czubka ziemi, skąd oni przybyli, a na wierzchołkach drzew błękitna szarość nieba bez plam. Światło migotało w wodzie. Żar prażył, wprawiał w drżenie cienie, jakby usiłował je rozbić. Słychać było jak nigdy rozkrzyczane i pomieszane odgłosy wszystkich małych stwo-rzeń żyjących na ziemi, pod trawami, w drzewach (odgłosy, a niekiedy także ukąszenia świadczyły najczęściej o ich istnieniu).

Wynurzające się z tej gmatwaniny, pełzające odgłosy, ciche krzyki pochodzące z zarośli czerwonych jagód przypominały jej

0 bliskiej obecności jej hordy. Oni i one. Wzdrygnęła się. Krzyki wzmożyły się, stały się wrzaskliwe. Rozpoznała bez trudu tę-
-co-widzi-ty lko-j eden-raz. Przedtem tej -co-widzi-ty lko-j eden-raz nie dało się tak odróżnić, ona widziała dwa razy, jak wszyscy

1 wszystkie, a potem cios pazurem pewnego małego cztery-ła-
py-co-skacze-w-gałęziach wyrwał jej jedno oko. Od tamtej pory często krzyczała, bez powodu. Wystarczyło, że jadło się jagody w tych samych chaszczach co ona, żeby szczyrzyła zęby. Potrząsała głową w dziwny sposób patrząc tylko jeden raz, bokiem, zupełnie jak te-co-mają-usta-z-rogu-i-ślizgają-się-w-powietrzu-na-swoich-wiel-
kich-lekkich-ramionach.

Krzyki i wrzaski stały się poważne, wkrótce całkiem poważne. Musiało je być słychać z drugiego brzegu wielkiego koryta migocą-

cej wody, na wpół wyschniętego. Bez żadnej wątpliwości, słychać je było aż do wielkich drzew po tamtej stronie, gdzie teraz przebywali „inni”, niewidoczni, i ich ulotny zapach.

Opuściła brzeg, na którym przykucnęła, żeby patrzeć na wodę, po tym, jak jej pełny brzuch sprawił jej ulgę - zostawiła na ziemi podwójną kolumnę małych-czarnych-gryzących-stworzeń idących tam i z powrotem, każde zajęte jakimś szczególnym działaniem - wracało potem po własnych śladach. Początkowo szła wstecz, najpierw trochę zgięta, później prostowała się stopniowo, wciąż próbując od nowa zauważyć „innych”, po tamtej stronie rzeki. Niczego już więcej nie było widać, niczego już więcej nie było, nikogo. Zapach osłabł w głębi jej nozdry, lekko rozchylonych nozdry. Tak osłabł, że naprawdę można by uwierzyć w odmienną rzeczywistość - zwykłą rzeczywistość obrazów... tego, co widziała.

Ale ona знаła prawdziwą naturę tego wszystkiego. Obecność tkwiła jeszcze w jej nozdrzach, jakkolwiek

osłabiona, i nie miała niczego wspólnego z obrazami zachowanymi przed oczami, dopiero co połkniętymi, tak prędko powracającymi.

Gdy zdobyła pewność, że więcej ich nie zobaczy, cofnęła się w stronę swoich, aż do rudawego cienia drzew w zagajniku. I odwróciła się na piętach. Zostawiła rzekę za sobą i z boku tej ręki, której używała najczęściej. Zapach „innych” jeszcze się rozrzedził, ale wciąż był wystarczający, żeby zachowała pewność tego, co zobaczyła.

Krzyki wydawała ta-co-widzi-tylko-jeden-raz, z fałszywego powodu. Ten-co-chodzi-powoli zbliżył się do zarośli, tam gdzie ona zbierała i zrywała jagody. On też wkładał jedne za drugimi do ust tak spokojnie jak wówczas, gdy znajduje się sam, sprawiając wrażenie, że nie słyszy i nie widzi rozgniewanej samicy. Pod drzewem w kształcie otwartej dłoni, w dziurze z trawy i upchanych gałęzi, opuścił małe pozostawione pod jego opieką. Ponieważ znalazły się same, małe zaczęły krzyczeć i piszczuć. Było ich tyle samo, co grubych gałęzi odchodzących od drzewa - jak palce jednej ręki. Jedna mała samica i więcej małych samców. Ta-co-chodzi-kołyszac i ta-której-często-nie-widać pośpieszyły w kierunku drzew. Uspokoili małe wydając łagodne pomruki, cmokając wargami i językiem, a potem przytuliły je do siebie i drapały po brzuchach.

Dalej był ten-co-nie-ma-koloru-do-patrzenia. Jak to zwykle on, kontemlował scenę z miłym grymasem na twarzy. Niekiedy

26

wydawał gardłowe dźwięki, krótkimi kaskadami, żeby zaznaczyć swoje zadowolenie i chęć zabawy.

Ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nieco z boku inny samiec, ten-co-chodzi-najszybciej, wspiął się na rozwidlony pień grubego drzewa o listowiu żółknącym jak trawa - to ostatnie drzewo poważnych rozmiarów przed skrajem wielkich chaszczy - tam przykucnął. Łokcie wsparł płasko na udach, oparty jednym barkiem o pień.

Zauważywszy to pomyślała, że z tak wysoka musiał oczywiście widzieć „innych” - widział ich z pewnością, jeżeli nawet nie poczuł ich obecności.

Popchnęła lekko w plecy tę-co-widzi-tylko-jeden-raz, wyłącznie po to, żeby przyciągnąć jej uwagę, jej reakcja zaś była obronna. Podskoczyła, przerwała swoją dreptaninę, wyszczerzyła zęby w kierunku tego-co-chodzi-powoli, wydała ostry krzyk zaskoczenia, sądząc, że ten-co-chodzi-powoli zamierza ogołocić chaszczę z jagód; wyszczerzyła zęby sapiąc wściekle.

Ta-co-pozostaje-często-sama żywo odskoczyła mały kawałek do tyłu, żeby znaleźć się poza zasięgiem ewentualnego ciosu wielkich płaskich dłoni jednookiej samicy. Kiwała się na stopach, w prawo i w lewo, unosząc się i wspierając na przemian o wewnętrzną część podeszwy i zewnętrzną część stopy. Trzeba

było, aby jej zakomuni-kowała to, co widziała przed paroma chwilami. Obrazy tego pozostają jej z tyłu za oczami, a ich obecność w nozdrzach. Powinna sprawić, żeby o tym wiedziała, że względu na to, że było to całkowicie nowe wydarzenie. Jednakże ta wyjątkowość pozbawiała je choćby najmniejszego przystosowanego znaku, rozpoznawalnego, nadającego się do wiernego przekazania.

Wskazała kierunek tego miejsca, po tamtej stronie rzeki, gdzie pojawili się i zniknęli „inni”. Zrobiła znak, żeby określić siebie, i znak o patrzeniu. Zrobiła znak przedstawiający ją w hordzie, z hordą, a następnie wiele razy znak powiększania liczby i wreszcie znak, że wszystko to znajduje się tam.

Ta-co-widzi-tylko-jeden-raz przestała sapać przez zęby i skom-leć. Przestała również zwracać uwagę na tego-co-chodzi-powoli, co też ten ostatni wykorzystał rwąc pełnymi garściami grona z gałęzi upragnionych chaszczy. Zgniał w palcach granulki owoców i pa-kował je w kąt ust. Jego dłonie i wargi złobiły głębokie zmarszczki pomiędzy długą i białą sierścią. Ta-co-widzi-tylko-jeden-raz, tro-

chę skurczona w sobie, w postawie obronnej, całkowicie mająca się na baczności, czekała; wyglądała, jakby nie rozumiała. Twarz lekko odwróciła zwykłym sposobem, aby maksymalnie powiększyć kąt widzenia swojego jedyne go oka. Prawe oko, lub bardziej dokładnie: miejsce po wybitym oku, wyglądało różowawo, jakby zbite. Długo po tym, jak pazur wydarł jej oko, miejsce ropiało, wyciekała z niego woda. Teraz było suche lub po prostu wilgotne, z kawałkami twardych strupów, które zrywane - regularnie tworzyły się na nowo.

Następnie znowu rozpoczęła robić znaki. Ale ta-co-widzi-tyl-ko-jeden-raz nie czekała, aż dobiegnie końca cały cykl. Wyciągnęła dłoń przed siebie, żeby niczego więcej nie widzieć, niczego więcej nie słyszeć.

No więc ona oddaliła się od chaszczy. W chwilę potem ta-co-widzi-tylko-jeden-raz przyskoczyła do tego-co-chodzi-powo-li (i nie utrzymuje już dobrze równowagi na ugiętych nogach z powodu długiego nieba nad nim) i popchnęła go. Sama wykopyr-tnęła się tyłkiem do góry przez głowę w ciernie sąsiednich zarośli. Krzyczała i miotała się, jakby wlała w dziurę pełną gryzącego i bzykającego robactwa. W innych okolicznościach scena musiałaby wywołać jej ciche zadowolenie - ale ona miała coś o wiele ważniejsze-go w głowie.

Podbiegła w stronę rozwidlonego drzewa, na którym trzymał się ten-co-chodzi-najszybciej. Ale od pierwszych kroków ta-co-idzie-za-tym-co-chodzi-najszybciej także zaczęła biec, przebywa-jąc w tym samym czasie małą odległość od grubego pnia.

To nie tej-co-idzie-za-tym-co-chodzi-najszybciej chciała prze-kazać znaki, jednakże została do tego prawie zmuszona. Zrobiła to, żeby uspokoić agresywną postawę wielkiej samicy z grubymi rudymi piersiami.

Ta-co-idzie-za-tym-co-chodzi-naj szybciej i ten-co-chodzi-naj -szybciej jednocześnie popatrzyli w tamtą stronę, wyciągając szyje, niuchając potężnie. W oddaleniu ten-co-nie-ma-koloru-do-patrze-nia przyłączył się do tej-co-chodzi-kołyszac i do tej-co-ma-pu-ste-usta, przynosząc im obu dwóch małych samców i dwie małe samice. Znieruchomieli. Wszyscy i wszystkie skierowali uwagę na drzewo, następnie tam, na

drugi pusty brzeg rzeki.

Następnie popatrzyli na nią.

Zrobiła jeszcze znaki, mówiąc gestami i odpowiednimi dźwiękami o tym, co widziała.

30

Ale ta-z-grubymi-piersiami bardzo wyraźnie umieściła się na-przeciw niej, żeby przeszkodzić jej posuwać się dalej w stronę tego-co-chodzi-naj-szybciej.

Zrozumiała, że oni jej nie słuchali. Była jak uderzona w środku niej samej przez coś w rodzaju gorzkiego zdziwienia... Oni nie chcieli słyszeć tego, o czym usiłowała ich zawiadomić. Nie rozumiała, dlaczego czuła się zobowiązana przekazać im tę informację. Dlaczego uważała za bardzo ważne, żeby podzielić się z nimi obrazami.

Żeby nie być samą, oczywiście.

Ponieważ „inni” oznaczali możliwość niebezpieczeństwa, że zagarną wszystkie jagodowe chaszczki, wszystkie rośliny o wspaniałych korzeniach.

Ponieważ był czas, kiedy ten, który zajmował w hordzie miejsce tego-co-chodzi-najszybciej, brał ją do siebie, żeby spać. To była ona. To ona była tą-co-idzie-za-tym-który-chodzi-najszybciej.

Ale tamten czas minął. Ten-co-chodzi-najszybciej był teraz tym-z-j ednym-ramieniem.

Obrazy znajdowały się w niej ciągle. Nie wysilała się, żeby je zrobić. Ten-co-ma-jedno-ramię często z nią spał.

Ale pewnego razu spał ostatni raz i z pewnością jego zimne ciało zostało pożarte przez tych, którzy wszystkimi łapami dotykają ziemi, którzy biegają tak szybko, których zęby są tak długie i mocne.

Teraz ona jest sama i nikt na nią nie czeka - a wszystkie samice przypominają sobie, one także, czas, gdy to ona była tą, co sypiała często z najsilniejszym.

Postąpiła kilka kroków w kierunku tego-co-nie-ma-koloru-do--patrzenia. Zanim stał się wielkim samcem tego wzrostu, był mały, okrągły i ciepły i wyszedł z jej brzucha. Ale dwie inne, noszące małe, trzymały się z tyłu za nim, a ta-co-chodzi-kołyszac zrobiła krok w jej stronę trzymając małych okraciem na biodrach.

Toteż znieruchomiła. Następnie powoli, ostrożnie, wycofała się w kierunku brzegu rzeki.

Ten-co-chodzi-powoli wciąż siedział na ziemi, tam gdzie upadł, gdy popchnęła go ta-co-widzi-tylko-jeden-raz (wreszcie uciszyła się). Podniósł na nią przygaszony wzrok i wodził za nią oczyma, jak cofała się aż do rzeki. Na jego starej, pomarszczonej twarzy błąkał się lekki wyraz dobroduszości.

P

O czerwieni na niebie, po tym jak światło stopniowo chyliło się, postępował mrok. Z nieznanych przyczyn dla tych-co-cho-dzą-wyprostowani, z całą pewnością także dla tych-na-czterech-łapach, noce nie zawsze były takie same. Z powo-du gęstej mgły tam wysoko, przybierającej wszelkiego rodzaju kształty, ślizgającej się szybciej lub wolniej po wielkim rozpostarcu - ale nie tylko z tego powodu.

Mrok nocy okrywał chłodem większość tajemnic, z którymi stykamy się regularnie, które pojawiają się na każdym kroku i znikają, powracają i powracają bez przerwy.

Za dnia był to zazwyczaj jedyny krążący ogień, regulujący ciepło i światło. I wielka ilość, albo brak, mgły tam wysoko, jej kształt i grubość. Wszyscy wiedzieli o tym wśród tych-co-chodzą-wyprostowani.

Te-co-ślizgają-się-wysoko-na-swoich-wielkich-lekkich-ramionach znają prawdopodobnie jeszcze inne sekrety, dlatego że mają możliwość wzbijać się tak wysoko, dużo wyżej niż korony drzew. Czasami widuje się je, jak szybują, całkiem małe, bardzo blisko wielkiego-ognia-obejmującego-niebo, i trzeba zasłaniać oczy złą-czonymi palcami albo bardzo cienkim liściem. W przeciwnym razie mocne światło przeszkadzało widzieć przez długie chwile.

Te-co-ślizgają-się-ponad-na-swoich-lekkich-ramionach-i-ma-ją-okrągłe-spojrzenie-i-sterczące-kości-usta, te być może znają również jeszcze inne tajemnice nocy. Ale nic się nie rozumie z tego, co chcą powiedzieć te stworzenia żyjące równie dobrze na ziemi jak i ponad. Wszędzie jest ich terytorium, z wyjątkiem wody. Wcale się ich nie rozumie, gdy krzyczą, a one nie krzyczą dla tych-co-chodzą-wyprostowani.

Zastanawiała się, kto oprócz tych-z-ustami-z-kości, krzyczących w niebie, z wielkimi ramionami łopoczącymi miękko jak długie

33

gałęzie, gdy krążą w koło i opadają aż do cuchnącego czarniawego mięsa martwych, kto inny oprócz nich, zawsze wygłodniałych, zawsze kwilących lub gwizdzących, zna tajemnice mroku nocy nie takich samych?

Wszyscy wyprostowani-na-dwóch-nogach, jakich znała i obok których chodziła w swoim życiu, wiedzieli równie mało co ona na ten temat. Wszyscy i wszystkie z hordy. Najsilniejsze samce nie więcej niż samice, z których brzuchów wypadają małe - nikt nie wiedział, nikt nigdy nie zrobił najmniejszego znaku ani nie wydał najmniej-szego mruknięcia, które mogłoby to wytłumaczyć. Nikt nigdy nie sprawiał choćby wrażenia, że to go niepokoi, ani się nie zastanawiał na ten temat. A oni, „inni”, czy wiedzieli?

A jeśli nie wiedzieli, czy się niepokoiili? Czy się zastanawiali?

Czy zastanawiali się, w najgłębszej z wielkich cisz, jaka ciężą pustką w głowie, dlaczego noc, gdy podnosi się z ziemi, gdy wychodzi z traw i z drzew, i z ziemi, i ze skał, dlaczego nie zawsze ma tę samą gęstość? I dlaczego ponad, na całym wielkim rozpostarciu nieba, światło było kilka razy całkiem okrągłe, kilka razy odłamane, z jednej strony albo z drugiej, i dlaczego kilka razy w ogóle go tam nie było? Gdzie krążyło światło dnia po tym, jak zagłębiało się w ziemi? Gdzie szło okrągłe światło albo odłamane nocą, gdy znikalo cał-kowicie? Ono niezmiennie powraca.

Czy „inni” wiedzieli? Czy raczej na próżno zadawali sobie takie pytania? A może jeszcze jakaś inna tajemnica nocy upewniła ich, że można odpowiedzieć twierdząco, przynajmniej raz, na to czy tamto z dwu pytań?

Całkiem możliwe, że „oni” wiedzieli.

Aż do schyłku tego kończącego się dnia nigdy nie przyszło jej do głowy, nigdy nie ważyła się łączyć obrazów tak, żeby ułożyć istnienie jakiejś podobnej hordy do tych-co-chodzą-wyprostowani. Nigdy nie przypuszczała, że coś takiego jest możliwe.

Ale coś takiego istniało. Ona to widziała, zebrała nieprzeliczone obecności tworzące tamtą hordę, „inną”, dużo silniejszą i ważniejszą niż ta, do której ona należała od urodzenia. „Inna” horda tych-co-chodzą-wyprostowani, ważniejsza, silniejsza - istniała. Ist-niała rzecz jasna dłużej i dawniej niż ta jedyna, którą znała od zawsze, istniała, chociaż o niej nie wiedziała w swojej niewiedzy. Istniała dużo wcześniej, zanim ją zobaczyła i nim wyczuła jej obecność. Istniała jeszcze w tym momencie, nawet jeśli jej już nie było widać.

34

A więc wszystko to było możliwe i prawdziwe, dlaczego więc „innych” nie było?

Nie wyobrażała sobie ani przez sekundę, że oni mogliby przybyć z bardzo daleka. Nie wyobrażała sobie ani przez sekundę, że „bardzo daleko” mogłoby oznaczać: po tamtej stronie terytorium jej własnej hordy, ponieważ nie znała odległości dzielącej jeden brzeg od drugiego owego terytorium, a wiedziała, że tę odległość przebywa się tylko ograniczoną ilość razy, przez całe jedno istnienie. Ona sama przebyła ją tylko trzy razy. Trzy razy (jeden raz, jeden raz, jeden raz) widziała takie same pejzaże, a jeśli zmieniły się, to mimo wszystko były to pejzaże, których obrazy ona połknęła. Zmieniły się dokładnie tak jak ona sama, jak ci z hordy. Były drzewa; widziała je pierwszy raz z mięsistymi liśćmi, a drugi raz widziała je z ramionami całkiem suchymi. Dokładnie tak jak w hordzie niektórzy przeszli pod tymi drzewami pierwszy raz idąc, a drugi raz już nie przeszli, ponieważ już przestali być. Nie obudzili się któregoś razu i zostali zjedzeni. Nie pojmowała także, jak można przyjść z „bardziej daleka” niż to terytorium, nie doznając wielkiego zmęczenia, i w tak wielkiej liczbie... Nie wyobrażała sobie również, że oni mogliby znaleźć się na tym terytorium, żeby ona o tym nie wiedziała...

Ponieważ nigdy nie spotkała tam nikogo oprócz czterech-łap, była przekonana, że to terytorium, które dobrze znała, zajmowała jedynie mała horda, której wielkość zmniejszała się coraz bardziej, pomimo dzieci wypadających z brzuchów samic.

I oto odkryła, że to terytorium - wciśnięte pomiędzy wysokie ziemie i gęszcze leśne - terytorium, którego horda nigdy nie ważyła się powiększyć, gdy zbliżała się do jego granic, z obawy że nie znajdzie oczekiwanych obrazów, pod którymi łatwo uspokoić się, ze strachu, że znajdzie tam inne obrazy, odwrotne niż uspokojenie... To terytorium z całą pewnością przemierzali „inni”, od dawna. Terytorium podzielone. Ślady pozostawione gdzieś tam, ślady stare albo mniej stare prawdopodobnie nie należały do gromad tych-prawie-wyprostowanych-z-długim-ogonem. Oni żyją więcej na drzewach niż na ziemi. Nie — to nie było tak, jak im się wydawało. Często, bez wątpienia, ślady należały do „innych”; były zbyt stare. Po prostu nawet wtedy, gdy nie były bardzo stare, żeby została w nich obecność, uparczywa woń. Oto odkryła, że inni żyli obok hordy, o której myślała, że jest jedyna, że tylko w niej można się urodzić. A „inni” zawsze tam byli.

35

Czy „oni” wiedzieli o istnieniu odmiennej hordy? Czy wiedzieli

o „jej” istnieniu? I czy ją widzieli?

Nastuchiwała nocy całą sobą. Słyszała zwielokrotnione krzyki, pogmatwane jak korzenie wszystkich małych niewidocznych stwo-rzeń gnieżdżących się w trawach i liściach. Słyszała przyjemny cichy odgłos wody. W głębi zapadłej nocy, z boku słyszała wściekły ryk tego-z-zębami-co-uderzają. Wstrząsnęła się. To nie był chłód, ale ryk tego-z-zębami-co-uderzają. Przeszył ją chłód, mimo wszystko.

Słyszała szmer wysokich tnących traw, słyszała uszami położo-nymi po sobie, jak gdyby mówił do niej jakiś cichy głos.

Czy „inni” mogli wytłumaczyć, dlaczego nocą wielkie-rozpo-starcie-ponad usiane jest małymi-błyszczącymi-kamieniami, w liczbę równie dużej jak refleksy światła na falach rzeki?

Opuściła hordę trochę przedtem, nim pierwsze z tych błysz-czących kamieni pojawiły się tam wysoko. Wciąż było jasno. Dało się jeszcze zauważyć drugi brzeg rzeki i łagodne pofałdowanie drzew w lesie aż do wzniesionego płaskowyzu. Nikt w hordzie nie zapobiegał jej odejściu, nie kłopotał się nim, tym bardziej nikt się tym nie niepokoił. Ten-co-chodzi-powoli po prostu popatrzył na nią, jak się oddalała. I to wszystko. Popatrzył z tym swoim charakterystycznym brakiem wyrazu. Taki miał teraz sposób pa-trzenia na wszystkie rzeczy.

Doszła aż do tego miejsca na brzegu, gdzie kucąca, gdy zobaczyła ich po raz pierwszy. Tam czekała, aż małe-błyszczące-kamienie pokryją całe rozpostarcie nieba ogarniętego mrokiem powstającym z ziemi. Światło nocy, częściowo okrągłe, nie ukazywało się przez wielki moment.

A gdy małe kamienie zaczęły błyszczeć zarówno tam wysoko jak
1 w wodzie rzeki, zdecydowała się. Zsunęła się z brzegu, weszła
obiema nogami w wodę. Bez hałasu, starała się, żeby fale za nią nie
chlupały za bardzo. Szła pod płynący prąd chłodnej wody, nie
oddalała się od brzegu więcej niż na jeden, na dwa kroki. Szła
posuwając stopami, stawiała je na okrągłych kamieniach, na lepkim
piasku, nie wyciągając ich z wody. Czasami unosiła dłoń w stronę
brzegu i przelotnie czepiała się powykręcanych i przegniłych łodyg
wysokich traw. Mogła iść po twardym brzegu, lecz zasłona traw
i skąpo oświetlona noc nie dawały szansy zauważenia, gdyby coś
działo się na drugim brzegu rzeki. Posuwała się ostrożnie, namyślała
się nad każdym krokiem. Poziom wody nie był wystarczająco

36

wysoki, żeby ukryły się w niej te-co-mają-kamienne-łuski-na--grzbiecie-i-ogonie, których pysk może
zmiażdżyć jednym kłap-nięciem tego-co-chodzi-wyprostowany. Poziom wody nie był wy-
starczająco podniesiony, a także trawy i drzewa wokół nie od-powiały im, nie obawiała się niczego z ich strony.

Osiągnęła ten punkt na wysokości przeciwnego brzegu, gdzie widziała „innych”, jak pojawili się i zniknęli.
Zatrzymała się. Tutaj zapach jej hordy prawie rozpląnął się. To, co pozostało z niej w jej nozdrzach, było
w zasadzie tylko przyzwyczajeniem. Gdy musnął ją oddech niewidzialnego, przemykając nad miejscem
po tamtej stro-
nie wody, zadrżała tak gwałtownie, jak gdyby usłyszała krzyk tego-z-zębami-co-uderzają.
Ale to nie było ze strachu. Gdyby to było z obawy, nigdy by nie poczuła czegoś takiego.

Woda lśniła. Tworzyła wielki pofalowany tren na szerokość rzeki, w przybliżeniu w połowie odległości
pomiędzy dwoma brzegami. Nieco dalej, po drugiej stronie owego migotliwego trenu, znajdował się pas
wynurzonych kamieni, a także kępy najeżonych traw. Po tamtej stronie pęczniały nieruchome kępy
czerniejących drzew, ledwie rysujące się w mroku na tle wysokich ziem.

Stamtąd, gdzieś ze środka tych wysokich kęp ledwie szumiących pod niewidzialnym oddechem, unosił się
i płynął ku niej zapach „innych”.

A więc byli tam. Wciąż byli. To nie był jeden z tych obrazów istniejących tylko w środku niej samej, jak te,
które się spotyka, gdy się jest otulonym snem. Oni naprawdę tam byli, jedynie zniknęli z patrzenia i z

wąchania - oni nie odeszli.

Nagle poczuła się straszliwie łatwa do zauważenia i odróżnienia na tle ściany wysokich traw brzegu. Poczuła - tak sobie wyobrażała - że jakiś wyjątkowo ostry wzrok mógłby ją spostrzec z tamtego przeciwnego brzegu, który ona sama śledziła. Z wyjątkiem jednego spojrzenia stamtąd tak ostrego, jak tylko ono może być, nie było szansy, żeby ją dostrzec, tak jak i ona nie mogła ze swojej strony rozróżnić szczegółów po tamtej stronie. Powoli ugięła nogi i obniżyła się, przykucnęła. Dokładnie w tym momencie, gdy jej pośladki dotknęły powierzchni wody, chrapliwy ryk tego-z-zęba-mi-co-uderzają rozległ się raz jeszcze, a ona aż podskoczyła. Uderzenia wewnątrz niej stały się dużo mocniejsze i głośniejsze, rozlegały się w niej całej, aż do uszu. Pozwoliła im uspokoić się, cały czas mrugając powiekami i oddychając najwolniej, jak się dało.

37

Do jej oczu podeszły obrazy, których nie chciała oglądać, po-trząsając głową starała się, żeby opadły. Wokół niej była tylko woda. Było zbyt czarno, żeby mogła kontemplować jej odbłask, tak jak bawiła się czasami poruszając i mieszając wodę, aż woda trzęsła się tak mocno, że już nic w ogóle nie było widać. Ale obrazy zaczęły się mocno jak nigdy, pomimo że zamykała oczy. Uniosła głowę i patrzyła wprost przed siebie usilnie śledząc ciemność na drugim brzegu, aż poczuła, jakby coś ją parzyło.

Te obrazy, które nie były prawdziwe, które nawet nigdy nie istniały, przedstawiały tego-z-jednym-ramieniem. Stał w pobliżu niej, on także patrzył w stronę drugiego brzegu, ponieważ on także wiedział, że „inni” znajdowali się tam. Ponieważ on słuchał, gdy ona komunikowała to, co wiedziała, za pomocą wszelkiego rodzaju nowych znaków. On je rozumiał. A gdy jeszcze był tym--za-którym-się-idzie, cała horda szła za nim, gdy ona szła za nim, ona, która była jeden raz pierwsza, i cała horda trzymała się tam, z tyłu, za nimi. Żeby ułożyć ten obraz, który nie istniał. Cała horda... jak większość czasu, gdy ona wzywała obrazy, gdy sobie przypomniała..., gdy cofała się w siebie samą, dużo wcześniej...

Często przypominała sobie czasy, gdy była mała i nie miała dużo sierści, i prawie bez brzucha, żeby do niego kłaść wspomnienia - ponieważ w tamtym czasie wszystkie obrazy znajdowały się przed nią, choć oczywiście nic o tym nie wiedziała. Gdy się jest małym, nie wie się nic. To jest rzecz, której się nauczyła. Wspomnienia są wszędzie i trzeba tylko je spotkać, żeby stały się obrazami dobrymi do zjedzenia.

A teraz, w każdym momencie, gdy o tym myśli, nie wie, ile wspomnień obrazów jest jeszcze upchanych przed nią, jej prze-znaczonych, dla niej, i przez ile czasu jeszcze. Ile jeszcze przejść z jednego krańca na drugi znanego terytorium.

Czasami drży, boi się tego kogoś innego, co wślizguje się do niej, niewidzialny i nieuchwytny, jak ten-którego-oddech-dmucha, żeby ruszać drzewami i unosić piasek. To ktoś, kto sadowi się w jej głowie, zamiast niej, żeby ją przestraszyć w dziwny sposób, którego ona nie rozumie. Widzi beładne wspomnienia - obrazy nie do rozpoznania, które są jej przeznaczone tylko przez jakiś czas.

No więc, czasami bała się w nieokreślony sposób, tamtym strachem.

A czasami bardzo pragnęła wiedzieć, czy inni z hardy bali się w ten sam sposób. Oni też, tak jak ona. Ale wiedzieć, o czym inni myślą, nawet jeśli chodzą wyprostowani, jak ty, to jest rzecz niemożliwa.

Pozostawała na uboczu, tak często sama. Często przywoływała dawne obrazy, a jeśli mniej je sobie przypominała, to dlatego, że prawdopodobnie była mniej zaprzątnięta wspomnieniami, jakie były gotowe tylko dla niej samej i czekały, aż ona je zje.

W tym czasie dawniej znajdowała się częściej przed oczami jednych i drugich. Trzymając się za ręce, tworzyli linię z tego brzegu rzeki, tutaj, do tamtego drzewa, tam. Tylko mali, trzymając się za ręce, połączyli to drzewo, tutaj, z tamtym. Wyłącznie mali, którzy nie wiedzą nic o koniecznym obowiązku jedzenia (którzy wyobrażają sobie jeszcze po prostu, że wystarczy ssać albo być głodnym i krzyczeć).

Teraz mali byli dużo rzadziej przed oczami kogokolwiek - z wyjątkiem tego-co-chodzi-powoli. Trzymając się za ręce, mogli nie--omal zrobić linię co dwa kroki. Cała grupa była mniej ważna.

Przypominała sobie często jednego ze swoich małych, jednego z tych-co-wypadli-z-jej-brzucha, z bólem. Jednego z tych-co--usnął-zbyt-długo i nie można go było obudzić. O nim trudno było mieć osobny obraz, ponieważ on nie zdążył być czym innym jak tylko jednym małym pośród małych. Akurat samiec. Często przypo--minała sobie tego, który stał się tak jak stary, nieruchomy na suchej ziemi, z oczami i ustami otwartymi. Niebieskie muchy łąziły po nim, potem w nim, a jemu to nie przeszkadzało. Długo przychodziła go oglądać, tam, gdzie leżał. Było to bowiem jedno z tych miejsc pokrytych liśćmi i korzeniami dobrymi do jedzenia. Ani cztery-łapy, ani te-co-ślizgają-się-w-powietrzu-na-swoich-wielkich-lekkich-ra-mionach nie przybyli, by go zjeść. Ostatecznie, widać było pień i gałęzie drzewa ukryte w ciele. Oczywiście, że dzisiaj to już skończone, nie ma tam już niczego oprócz trawy, w tym miejscu, gdzie mały, który nie miał nic szczególnego, żeby go sobie przypo--minąć wśród innych, nie obudził się. To prosta osobliwość - trzeba się wystrzeżać snu.

Spośród tych-co-wyszli-z-jej-brzucha pozostał ten-który-nie--ma-koloru-do-patrzenia. On ma przyjemną twarz. Większość czasu robi grymasy miłe i szczęśliwe. Gdy ona go widzi, tego, który był jej małym, jest uspokojona, wypoczywa.

39

Ten-z-zębami-co-uderzają pożarł samca hordy, który miał naj-więcej wspomnień. Ci co zdołali uciec, wiedzieli od tej pory jedną rzecz dodatkową: nawet mając wszystkie możliwe wspomnienia, pozostaje się na łasce tego-z-zębami-co-uderzają.

Nawet gdy ma się najwięcej jak można wspomnień, twoje kości łatwo trzaskają w pysku

tego-z-zębami-co-uderzają.

To był ten-z-jednym-ramieniem. On chodził pierwszy i naj-szybciej. W tamtych czasach. A ona miała tylko jednego małego. On znał drogi na ziemiach, wody, drzewa i zapachy. Miał tylko jedną rękę i zaledwie trochę więcej niż jedno ramię. To był jeden z tych-co-chodzą-na-wszystkich-palcach, z sierścią jak połyskliwa noc i oczami z kamienia. To on oderwał rękę aż po zgięcie ramienia. Minęło tak dużo czasu, że nie zachowała w sobie obrazów wydarze-nia - zawsze go widziała tylko z jedną ręką i zaledwie z kawałkiem drugiego ramienia.

To mu nie przeszkadzało znać dróg wiodących przez terytorium i zapachów. On chodził szybko, po prostu na swoich dwóch nogach, i mimo wszystko wdrapywał się, ale nie tak jak wdrapywałby się z dwoma rękami. I dlatego złapał go ten-z-zębami-co-uderzają.

To było to, o czym myślała. Tak tłumaczyła brutalne nieszczęś-cie, gdy spadło, o którym zachowała, w tym przypadku, obrazy.

Kiedy on chciał, kiedy się zgadzał, żeby przysłała, ona bardzo lubiła spać przy nim. Większość czasu to była ona, to ona chodziła obok niego, jak ta-co-teraz-podąża-za-tym-co-chodzi-najszybciej - a on pokazywał, że bardzo to lubił.

Ta-co-teraz-podąża-za-tym-co-chodzi-naj szybciej była ni- czym, ale już próbowała chodzić większość czasu z nim, a on tego nie chciał, i nie chciał, żeby spała przy nim. Pokazywał jej zęby.

Ona spała i chodziła razem z tym-z-jednym-ramieniem. Czuła się uspokojona. Nie obawiała się już snu, gdy wiedziała, że on czuwa za nią.

A ten-z-zębami-co-uderzają złapał go. Była tam, widziała, wszyscy widzieli. Wdrapała się na drzewo, sądziła, że on też zdoła. Słyszała odgłos jego oddechu i jego biegu, tuż za nią, a blisko za nim odgłos biegu ścigającego - wierzyła przez chwilę, że drapieżnik porzuci ich, żeby pobiec za kimś innym z hordy. Rzuciła się do pierwszych gałęzi, usłyszała ryk, kłapanięcie szczęk...

On bił pięścią krwawy pysk, potem kamieniem podniesionym tam, gdzie upadł. Nogi miał rozdarte, z otwartego brzucha gubił

42

dymiące wnętrzności, pomiędzy udami, wciąż bił bez krzyku, a ten-z-zębami-co-uderzają zdawał się wcale nie czuć uderzeń... Teraz on z kolei uderzył, z góry na dół, swoimi ogromnymi zębami wystającymi mu z pyska. Tylko jeden raz. Następnie, spokojnie, rozszarpał. Nie spieszyło mu się.

Pożarł prawie całkowicie tego-z-jednym-ramieniem u stóp drze-wa. Potem położył się.

A ona siedziała na drzewie, powyżej, i czekała, aż się oddali.

Po tym, jak ten-z-jednym-ramieniem został zjedzony, wszystko stało się jakby bardziej kruche. Jak jakieś

złamanie. Jak gdyby to zniszczyło zwyczajność gestów i myśli zajmujących i wypełniających następujące po sobie dnie i noce.

Przestała już być tą-która-śpi-i-chodzi-z-tym-co-chodzi-naj-szybciej.

Gdyby on nie został pożarty, przekazałaby mu to, co widziała. On by zrozumiał. On poszedłby tam, na tamten brzeg rzeki, przez wodę nadzwyczajnie płytką, a wraz z nim cała horda.

Co on by postanowił? Czy wiedział, że istnienie „innych” było możliwe? Czy byłby zaskoczony? Czy nie? Czy bałby się? Czy ze względu na bezpieczeństwo hordy wybrałby drogę prowadzącą pod wielkimi drzewami, w stronę ognia na niebie, gdy opada? Czy raczej przeciwnie, wybrałby pozostawanie zupełnie na widoku, na tej części terytorium, gdzie nie było mowy o dzieleniu rzeczy do jedzenia ze wszystkimi tamtymi „innymi”? Czy może przeszedłby rzekę?

W pewnym momencie, nad szczytem wysokich ziem pojawiło się odłamane światło nocy. Wdrapywało się. Mrok przejaśniał. Można było rozróżnić drzewa w pobliżu „innych”, z tyłu, i jeszcze te znajdujące się dalej. Trawy przybrały taki odcień, jaki pokrywa je w chłodne poranki. Cała rzeka stała się lśniąca, jak gdyby światło nie przychodziło z góry, ale spod fal i drżących kęp.

Od strony wysokich ziem, pod miejscem, gdzie odłamane światło nocy wyszło z ziemi, słychać było kwilenie i popiskiwanie w drzewach. Ten-z-zębami-co-uderzają wydał znowu długi, chrapliwy ryk zadowolenia. Albo groźby.

Wyprostowała się. Woda mocząca jej pośladki przez cały ten czas, gdy kucąca, pociekła wzdłuż delikatnej sierści na udach, łaskotała wklęsłość kolan.

43

Zrobiła krok, potem dwa, woda sięgnęła powyżej tydek. Zrobiła trzy kroki, cztery, szła w poprzek rzeki. Na wysokości łąchy z kamieni i traw, pośrodku wielkiej drogi, płynnej i posrebrzonej nie wychodziła z wody. Podążyła w kierunku brzegu i zapachu „innych”, zapachu coraz mocniejszego, silniejszego niż woń rzeki.

Ten-z-zębami-co-uderzają jeszcze warczał, i jeszcze. Wszystkie małe stworzenia nocy świerczały, jak trawy suche i zgniecione. Z boku, od wysokich ziem, dobiegły przerażone kwilenia. „Inni” siedzieli cicho, uśpieni w drzewach, na pewno pod strażą czuwających. Ona szła do tej ciszy, przechodziła rzekę.

N

OC spędzili w drzewach. Nie spali, albo mało, albo źle, i rzadko wszyscy na raz. Od chwili, gdy jasność czuwania zgasła na jednym krańcu ziemi, aż do momentu, gdy znowu zapłonęła na drugim krańcu, ten-z-zębami-co-uderzają nie przestawał wałęsać się i krążyć po jednej stronie rzeki, potem po drugiej. Albo jeden był z tej strony, a drugi z tamtej. Ryki drapieżnika rozbrzmiewały przez cały czas wschodzenia i zachodzenia okrągłego-światła-zawieszzonego-ponad. W ciszy pełnej innych krzyków, między dwoma pomrukami, sen był najbardziej niebezpieczny, i - tak czy inaczej - najtrudniej przychodził.

Oni nigdy nie spali dużo nocami, gdy krążyły te-z-zębami--co-uderzają.

Samice usadowiły się na najgrubszych gałęziach, w najszerszych rozwidleniach i przyciskały do siebie małe. Nawet one, małe, źle spały, chociaż nie wiedziały, jakie dokładnie niebezpieczeństwo zapowiadają porykiwania. Małe nigdy nie widziały posiłku drapieżników. One były jeszcze zbyt małe, żeby zrozumieć, gdy widziały czerwone mięso wydostające się z rozerwanych ciał w trawach. Ale na pewno już rozumiały związek zapachów, gdy nad wonią czerwonego mięsa unosiła się woń pożeracza. To był zapach, który one mogły zawsze zauważyć, gdy ryczał pożeracz-z-zębami-co-uderzają. A jeśli one zupełnie nie rozumiały, strach przychodził instynktownie. Strach się wdychało, wysysało z mlekiem matki. Strach tam był, w drzeniu przebiegającym pod skórą samic, w ich milczeniu, w ich oczach szeroko otwartych, wpatrzonych w głęboką i czarną noc.

Ryki pożeraczy-z-zębami-co-uderzają zrzędyły, potem ustały, trochę wcześniej, nim nowe światło powróciło na niebo ponad ziemią.

45

Tak jak za każdym razem, jedno po drugich cichły hałasy i krzyki wypełniające mrok. Z nastaniem nowego dnia zastępowały je inne, wzbijały się i przemierzały przestrzeń.

Jeszcze nie było cienia przyczepionego poniżej rzeczy i stwo-rzeń.

Złazili z drzew, powolnymi, płynnymi ruchami, wynikającymi zarówno z ostrożności jak i z senności. Poruszali się w milczeniu, bez żadnego głosu, z rzadka wydając głośniejsze westchnienia. Małe uczepliły się barków, brzuchów, piersi matek, a te pozwalały się szarpać bez sprzeciwu, całkowicie pochłonięte wężaniem i nasłuchiowaniem wokół.

Ten-z-zębami-co-uderzają zamilkł wystarczająco dawno, toteż można było przypuszczać bez omyłki, że znalazł coś, czym zaspokoił swój głód.

Członkowie hordy skierowali się w kierunku rzeki. Podniosło się wielkie tchnienie niewidzialnego. Biegło nad wodą, w trawach i listowiu, w rytmie powolnego oddychania.

Wzdrygali się i parskali. Czasami robili gwałtowne ruchy, urywane, przeciągali się. Samice także, wraz ze wszystkimi małymi, wieszającymi się i czepiającymi na nich. Pierwsze warknięcia drapiące gardło wraz z

pierwszymi krzykami zadowolenia wzbijały się w błękitnym powietrzu. Laska samcza tego-co-nie-ma-kolo-ru-do-patrzenia sterczała mu spod brzucha i kiwała się przy każdym kroku. Pokazał przyjemną twarz, jaką zazwyczaj obnosił, szukając wokół siebie spojrzenia, ale żadna z samic nie wyglądała na gotową poświęcić mu bodaj najmniejszej uwagi. Zbliżył się trochę za bar-dzo do tej-co-ma-puste-usta, a ona parsknęła suchym i krótkim dźwiękiem w jego stronę, pokazując niebieskawe dziąsła. Tkwiły w nich zęby tak małe i starte z przodu, iż można powiedzieć, że ich tam nie było. No więc, wciąż zachowując przyjemną twarz, ten-co-nie-ma-koloru-do-patrzenia oddalił się nie nalegając. Nieco później jego samcza laska opadła pomiędzy nogi.

Byli pierwsi na brzegu. Pili i przez chwilę iskali się wzajemnie. Ale nikt nie dotykał tego-który-chodzi-najszybciej. Wyprostowany, z nogami w wodzie, o kilka kroków od grupy, teraz rozgderanej i rozkrzeczanej, trzymał głowę wysoko, wysuniętą do przodu, powieki półprzymknięte w oślepiającym i koszącym świetle ciepła dnia, które właśnie wyszło z ziemi.

Zrobiły się cienie u podnóża rzeczy i stworzeń.

To on, ten-który-chodzi-najszybciej, zauważył nieobecność tej-co-pozostaje-często-sama. /Warknął, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich i wykonał znaki rękami, z towarzyszeniem mimiki. „Nazwał” ją trzema gestami: znak samica, znak cisza, znak od-dalenie od wszystkich.

No więc, jeszcze się wzdrygnęli, wszyscy i wszystkie, gwałtow-nie, a ta-co-idzie-za-tym-co-chodzi-najszybciej zrobiła gest o poże-raczu-z-zębami-co-uderzają.

Ale nawet ten-co-nie-ma-koloru-do-patrzenia, trzeci i jedyny żyjący z wypadłych z brzucha zaginionej, nie zmienił niczego na swojej przyjemnej i wesołej twarzy. Przez moment stał się prawie spokojny i nieruchomy, rozglądając się tu i ówdzie, wokół.

Ten-który-chodzi-najszybciej miał wygląd zatroskany i zagnie-wany. Odepchnął tę-co-zawsze-za-nim-chodzi, gdy zbliżyła się do niego, a ona upadła w wodę, chlapiąc dookoła, ale to nie była zabawa.

Ten-który-chodzi-najszybciej cofnął się kawałek drogi na brze-gu, którą szła w przeddzień ta-co-pozostaje-często-sama. Zrobił kilka kroków, zatrzymał się, odwrócił, żeby sprawdzić, czy reszta hordy patrzy na niego. Szedł niesłychanie ostrożnie.

W pewnym momencie zwęszył obecność zaginionej samicy. Lecz zapach był bardzo lekki, zwietrzały, tak jak to, co zostaje z woni starego kwiatu, gdy gotów jest opaść na ziemię. Jednakże to był znak, że ona tędy przechodziła.

Przystanął, czekał, nasłuchiwał. Ukradkowa paplanina i po-mrukiwania hordy ustały. Albo prawie ustały.

Przywołał swoją pamięć i niczego nie znalazł. Ona nie spała z nimi w drzewach. Tej nocy, tak jak podczas wielu innych, od kiedy ten-z-jednym-ramieniem został zjedzony, pozostawała sama, na uboczu, i

prawdopodobnie nie zachowała ostrożności, nie wdrapała się na drzewo.

Toteż bardzo możliwe, że ten-z-zębami-co-uderzają schwytał ją. Bardzo możliwe, że już więcej nigdy nie zobaczy się tej-co-pozo-staje-często-sama.

Przez kilka kroków śledził jeszcze słabą obecność samicy pośród ostrych traw na brzegu, następnie przystanął gwałtownie. Tym razem obecność ta zniknęła całkowicie.

Podniósł wzrok na przeciwległy brzeg.

I wtedy zobaczył „innych”. Było ich tylu co kilka hord. Powoli zbliżali się do wody.

47

Przypomniat sobie to, co ona sygnalizowała, że widziała, zanim zapadł zmrok. Powoli przykucnął. Tymczasem strach wstępował w jego członki, tłukł się w piersi. Później puścił się na czterech łapach w stronę hordy, swojej hordy, odegnał ją na brzeg i zmusił do biegu przez trawy, a potem pod rozproszonymi drzewami w kierunku gęstych chaszczki u stóp wysokich ziem. Uciekali co sił w nogach od bliskości „innych”, którzy zjadali wszystkie korzenie, wszystkie jagody, którzy zabiją ich, jeśli spróbują się sprzeciwić, tacy liczni... Tak jak na pewno zabili tę, która zniknęła w nocy, jeśli nie uczynił tego sam pożeracz.

Przecież nieśli ze sobą woń pożeracza. Mieli ten zapach ścierwa i czerwonego mięsa, mimo że chodzili wyprostowani. Byli tacy, że ten-co-chodzi-naj-szybciej-nigdy-przedtem-czegoś-podobnego-nie-widział, a więc musieli być niebezpieczni.

S

EN krążący wokół niej, od kiedy wdrapała się na drzewo, ogarnął ją w pewnym momencie, lecz nie był ani głęboki, ani nie trwał długo. To drzewo było niewygodne, nie pozwalało na swobodę i wypoczynek. Ostre rozwidlenia, cienkie gałęzie nie wyglądały na rzeczywiście solidne, a to zmuszało, żeby trzymać się bardzo blisko pnia, ramiona i nogi przyciskać do chropowatej kory. Nie wybierała tego drzewa. Było jedynym wśród innych tworzących wątki zagajnik, na które można było się wdrapać - jeśli uwzględni się swoją wagę - nie ponosząc przy tym nazbyt wielkiego ryzyka natychmiastowego upadku. Jednocześnie było jedynym nie nazbyt widocznym i rzucającym się w oczy z powodu izolacji od strony wielkich i prawdziwych drzew, wśród których gromadnie trzymali się „inni”...

Wdrapała się możliwie najwyżej, posłuszna temu, co jej pod-powiadała i jednocześnie czego zabraniała ostrożność: bezpieczna wysokość poza zasięgiem ciosów łap i skoków pożeraczy o silnych zębach, krzyczących nocą... Niemniej nie za wysoko, żeby uniknąć miejsca, gdzie pień zwęza się, a wątkie gałęzie

łamią.

Prawie wcale nie musiała odpierać ataków sennaści. Nie chciało jej się spać. Czuła, że drży w środku siebie samej, przebiegały ją fale gorąca albo zimna, jedne po drugich. Temperatura otoczenia nic do tego nie miała. Gdy przywołała przed oczy całkiem młode obrazy nowej hordy zauważonej po drugiej stronie wody, poczuła, że to coś w jej torsie uderza dwa razy szybciej.

A poza tym, gdyby trzeba dodatkowego powodu, żeby nie pozwolić sobie zapaść w nieostrożny sen, wzbijały się i napełniały noc regularne krzyki tego-z-zębami-co-uderzają. Gdy rozbrzmie-wały złowieszczo, straszne i całkiem bliskie, było tak, jak gdyby nie wystarczało im, że krążą wokół, otaczają cię i wkręcają się w środek twojej głowy, na okrągło. Tak jakby jedyna żywa rzecz w twoim

martwym brzuchu. To było takie samo, jak wielkie ogromne hałasy przetaczające się niekiedy wysoko ponad, gdy pełno było czarnych mgieł i gdy trzaskało z oślepiającą jasnością. Ta zagadka, ta także, mroziła w środku ciała, gdy działa się. Krzyki tego-z-zębami--co-uderzają wywoływały trochę podobne objawy.

„Inni” na niskich gałęziach wielkich drzew drżeli tak jak ona. Wiedziała o tym. Czuła to. Ich obecność wypełniała całą jej istotę, tak mocno i ciężko, że doznawała od czasu do czasu potrzeby parsknięcia, otrząśnięcia się, żeby strącić nadmiar tego. Ich obecność niosła kwaśne, nieruchome wonie strachu.

Nie widziała ich - widziała tylko szeroką przegrodę lasu z kępami zarośli koloru skały podczas nocy. Wynurzały się z nich trawy. Wcale ich nie rozróżniała - ale nie można było wątpić, że nieprze-zroczyista masa, jaką ona tworzyła na pniu swojej grzędy, musiała być dziesięć razy łatwiejsza od zobaczenia dla obserwatora usytu-wanego poza zaroślami. Wyczuwała tak mocno ich obecność, że mogła się czuć tak, jakby była pomiędzy nimi.

No więc dowiedziała się w ciągu tej nocy, aż do chwili po odejściu pożeracza, że oni tak samo potrafią ciągnąć za sobą bezwładne zapachy czerwonego mięsa i być tak jak wiele razy jej horda. Oni doznawali nie mniej niż ona wielkiego strachu, gdy rozlegały się nocą głodne ryki tego-z-zębami-co-uderzają. I tak jak ona, jak wszyscy, oni wdrapywali się na najlepsze gałęzie chroniących drzew i nie poruszali się, najmniej jak można. A strach uciszał zarówno małe jak i tych z pomarszczonymi twarzami.

Trochę wcześniej, nim dzień wstał z ziemi, powarkiwanie drapieznika zbliżyły się do drzewa, na które ona się wdrapała. W pewnym momencie zapach pożeracza doleciał do niej i wymiół z jej nozdrzy wszystkie inne zapachy. Ścisnęła pień ze wszystkich sił. Nie było nawet pewności, czy drzewo wytrzyma gwałtowne uderze-nie łap z rozdzierającymi pazurami. Przemknęły przez nią wstrząsa-jące obrazy, ujrzała siebie, jak wpada, wraz ze złamanym drzewem, w ziejącą paszczę, dostaje się pod zęby dłuższe niż ręka, jak ją uderzają i rozdzierają. Krzyknęła ze wszystkich sił, nawet wcześniej, nim pień zgiął się pierwszy raz. Krzyczała. To wyrывało się z niej samo, od powstania krzyku aż do tego, co wychodzi... Ale nie była całkiem pewna, czy ten krzyk, jednej z takich jak ona - podobnej do nich, wyprostowanej - spowoduje u „innych” choćby najmniejsze solidarne działanie.

Dlaczego oni mieliby opuścić swoje drzewa? Z powodu przerażonego krzyku jakiejś samicy, nawet nie będącej z ich zwyczajów? Której istnienia nawet nie podejrzewali?

Nawet gdyby należała do wielkiej hordy, nawet gdyby była z ich zwyczajów, nie przestaliby mocno ścisnąć pni, na których się schronili.

Co ona zrobiła, czego próbowała, ona - i nie tylko ona, ale każdy członek tworzący hordę - gdy na ich oczach ten-z-jednym-ramie-niem został zahaczony i pożarty kilkoma kłapnięciami paszczy? Co ona i co oni zrobili - nie licząc patrzenia i słuchania? Dopiero dużo później słyszeli, jak pożeracz odszedł stamtąd pozostawiając skrwa-wioną część tego-z-jednym-ramieniem nie zjedzoną, białe spoj-rzenie wbite w powietrze pośrodku oszczędzonej głowy. Co oni mogli zrobić?

Krzyczała tym, co wyrывa się ze środka brzucha, tuż przedtem, zanim pazury zrobią to wszystko.

Ale pożeracz nie przyszedł. Krążył w bliskiej okolicy, po tej stronie wody, gdzie wciąż dało się zauważyć lekkie bulgotanie pośród wszystkich innych odgłosów nocy - przebyła akurat taką odległość, która pozwalała nie słyszeć wody, jeśli nie wytężyło się uwagi - a potem oddalił się. Oczywiście, on także odkrył obecność „innych”, cicho siedzących na gałęziach gęstych drzew, ale zrozumiał bardzo szybko, że lepiej robi, jeśli pójdzie szukać zdobyczy gdzie indziej. Zrozumiał, że byli w zbyt wielkiej liczbie, niedostępni, i naturalnie bardzo prędko skojarzył jej obecność, przestraszonej samicy, z tymi tworzącymi grupę.

Poczuła radość, zadowolenie instynktowne i dziwne, doszedłszy do tej oczywistości. I natychmiast po tej satysfakcji ubodło ją natrętne osłupienie na myśl o takiej ewentualności.

Gdy nastawał dzień ze swymi spokojnymi odgłosami, bez niebezpieczeństwa, ten-z-zębami-co-uderzają odszedł. I można było sobie powiedzieć, że wkrótce znajdzie, żeby zaspokoić głód - o ile już tego nie zrobił - zdobycz chodzącą na wszystkich palcach spośród spragnionych, tych, co zwykle zbliżają się do wody, każdego dnia wstającego z ziemi i napełniającego niebo.

Słyszała swoich, tam. Rozpoznawała ciche, krótkie, charakterystyczne warknięcia tej-co-chodzi-kołyszac. Próbowała ich zobaczyć, lecz pomimo że zagajnik, w którym się znajdowała, był rzadki, jeszcze zbyt dużo liści przesłaniało jej pole widzenia. Światło

53

migotało przyjemnie żywymi rozmiękczonej kolorami i sprawiało, że liście stawały się apetyczne - umiała opierać się takiej pokusie, żeby pewnego dnia móc zauważyć tę-co-widzi-tylko-jeden-raz, jak się skręca na ziemi, bijąc się po brzuchu, po zjedzeniu tych liści.

Nie musiała widzieć tych ze swojej hordy. I tak wiedziała, co robią, to się nie zmieniało na początku każdego dnia. W pewnej chwili poczuła się niezbyt wygodnie na swoim drzewie. Powiedziała sobie, że oni przeżyli chwilę zwyczajną i banalną nie wiedząc, że się pomylili. I ona to wiedziała, właśnie ona. Ale

oni nie chcieli jej słuchać. Jeżeli „inni” postanowili odepchnąć hordę po tamtej stronie wysokich ziem lub jeśli nawet zabiją ich wszystkich, ona nie będzie pośród ofiar. Ona nadal będzie żyła.

Gdzie będzie żyła? Z kim? Ile pór zimnych i deszczowych?

Ale te obrazy nie miały jeszcze uzasadnienia.

Potem usłyszała „innych” i wtedy to coś w jej torsie uderzyło bardzo szybko i mocno.

Ześlizgnęła się wzdłuż drzewa, cofnęła w gęste zarośla nie zwracając uwagi na ciernie rozrywające ramiona i twarz. Wargę rozdarło dojmujące zadraśnięcie.

Z głębi zarośli, gdzie położyła się na ziemi, widziała ich, jak przechodzą. Wydawało się jej, że ziemia jest dziwnie zimna pod brzuchem i rękami, podczas gdy ciepło dnia prażyło mocno w tył czaszki i w plecy. Spodziewała się, że coś zaraz się wydarzy - nie wiedziała co ani jak, ale to wydawało się tuż, tuż. To było tak jak przedtem, zanim zaczną rozbryzgiwać hałasy pod czarnymi mgłami nieba, razem z tymi-co-oślepiają. Trzeba oddychać w taki sam sposób, krótkimi haustami, żeby nie zrobiło się niedobrze w tym naprężonym pejzażu, który mógł się rozedrzeć jak kruchy liść.

Otworzyła oczy, bolała ją głowa, w środku, powieki paliły. Kropla krwi ciekąca z zadrapanej wargi dotarła do kącika ust; ani jej nie zdmuchnęła, ani nie zlizwała, łaskotliwa kropla ściekała dalej po szyi, aż zawisła na sierści, zanim spadła.

Nie poruszała się więcej, zastygła w bezruchu, jakby była z drewna albo z kamienia. Ledwie oddychała, czuła duszności, ściśnięta jak w imadle strachem.

Do jej uszu doleciały lekkie, ukradkowe odgłosy dochodzące z miejsca, gdzie ci z jej hordy pili pierwszą wodę dnia. Rzut oka w tamtą stronę poprzez niskie ciernie zarośli utwierdził ją w tym, o czym wiedziała. Równocześnie zauważyła przysadzistą znajomą

54

sylwetkę tego-co-chodzi-naj szybciej dalej na brzegu rzeki, w po-bliżu tego miejsca, którądy ona przechodziła. Znowu skierowała uwagę na „innych”.

Było dużo samic, ale także dużo samców i małych wszelakiego wzrostu. Skąd mogła wiedzieć albo domyślać się, że na tym przecież tak rozległym terytorium, jakie znała, mogło być aż tylu podobnych, jak oni i one z jej hordy? Wszyscy i wszystkie chodzili wyprostowani. Jak się domyślać, że oni mogli być aż tak liczni „poza” tym terytorium?

Oni byli bardzo podobni, nawet jeśli ich twarze wyglądały na bardziej płaskie i jeśli w większości ich ciała pokrywało runo mniej gęste, z wielkimi miejscami prawie bez sierści, poprzez którą wyraż-nie prześwitywała skóra. Byli podobni, nawet jeśli ich chód był bar-dziej prosty, bez kołysania biodrami, żeby pewniej stawiać kroki. Byli bardzo podobni. Nie mieli ogona, nie chodzili skacząc na wszystkich

palcach. A jednak tak bardzo cuchnęli zapachem pożeraczy.

Szli w stronę rzeki. Na ich czele był jeden co-chodzi-najszybciej, ale także drugi. Samce uformowały grupę wokół, a w środku samice z nazbyt małymi. Niosły je w ramionach, a idąc pozwalały im ssać. To było tak, jak gdyby samce ochraniały samice i te małe, jakby specjalnie się tak rozmieścili, żeby stworzyć przegrodę pomiędzy samicami i małymi a mogącymi się wyłonić niebezpieczeństwami. Widziała, że większość spośród nich miała swoje samcze laski wzniesione.

Pierwszy zatrzymał się o kilka kroków od drzewa, na którym ona spędziła większą część nocy. Wciągał powietrze. Pozostali, z tyłu za nim, robili to samo. W środku grupy małe płakały i kwiliły, źle rozbudzone i senne, tak jakby protestowały przeciwko napiętej nocy strachu, dopiero co minionej. Płakały i kwiliły tak jak wszystkie małe, jakie kiedykolwiek słyszała.

W pewnej chwili zrobiło się jeszcze zimniej, a potem cieplej pomiędzy ziemią a skórą jej brzucha. To, co biło w niej, podeszło do gardła i do uszu.

Wielu spośród „innych” spoglądało w jej kierunku, a może nawet widziało ją, leżącą płasko na ziemi pod niskimi gałęziami ciernistych zarośli.

Szykowała się do powstania. Przeskoczyłaby przez zarośla, podbiegła do rzeki, przez którą przeszła - wiedziała dokładnie, którądy - i dołączyłaby do swojej hordy. Z pewnością musieli

55

słyszeć, jak przekazywała to, co wiedziała o „innych”. Musieli także widzieć... Gdyby się rzuciła w chwili, gdy będą stawiali pierwsze kroki w jej kierunku, miałaby szansę uniknięcia ich. Biegała wystarczająco szybko. Byłaby na środku rzeki, zanim weszliby do wody.

Naprężyła mięśnie, uniosła łokcie, żeby oprzeć płasko dłonie, gotowa w kolanach do tego samego wysiłku, do wyskoczenia.

Ale oni nie szli w jej stronę. Przestali interesować się jej obecnością w pobliżu drzewa, przestali spoglądać w jej kierunku.

Gwałtownie spadły na nią ciężkie zapachy dolatujące od ich grupy. Jej oczy, tak bardzo wytrzeszczone, napełniły się szczypiący-mi łzami, które wylewały się i spływały po twarzy.

Spoglądała za nimi, jak oddalają się i idą ku rzece.

Teraz znajdowali się pomiędzy nią a jej hordą. Powoli podniosła się na rękach i kolanach.

Zobaczyła tam, że ten-co-chodzi-najszybciej biegnie i dołącza do hordy. Widziała, jak popycha ją, żeby zagłębiła się w wysokie trawy. Słyszała słabe wesołe odgłosy unoszące się ponad grupą „innych”.

W uszach czuła coś jakby brzęczenie. W pewnej chwili jej głowa stała się ciężka. Zamknęła oczy,

ponownie je otworzyła, i wszystko, co zobaczyła, to byli tylko ci „inni” nad brzegiem rzeki po tej stronie, po tej stronie, dokąd ona przeszła. Nie było już niczego innego do oglądania. Zniknęła „jej” horda, w której się urodziła, jedyna grupa, jaką знаła aż do teraz. Horda uciekła, nie poczekali na nią, oczywiście ani przez chwilę nie zaprzętając sobie głowy jej obrazem.

No więc wyprostowała się na nogach w zaroślach. Być może w ten sposób ją spostrzegą i może będą zdziwieni, że jest podobna do nich. Wystarczająco zdziwieni, żeby nie zrobić jej krzywdy ani natychmiast jej nie zabić. Nie wyglądali na okrutników, wbrew ciężkiemu zapachowi ścierwa i rozszarpywanego czerwonego mięsa. Nie mieli zębów dłuższych od niej ani widocznych pazurów.

No i byli zbyt liczni, żeby musieli się jej obawiać. Nie zamierzali bronić się przed nią, nie zdradzali też chęci zabicia jej ze zwykłej ostrożności.

Stała więc wyprostowana w cierniach i spoglądała na nich. Nigdy dotąd nie znajdowała się na odległość głosu od tak poważnej hordy. I nigdy dotąd nie była tak samotna.

W

ŻADNYM momencie „inni” nie przejawiali najmniej-szej agresywności. Ani razu nie krzyknęli, nie zrobili jednego gestu mogącego go naruszyć gęstą obojętnością przenikającą ich postawę. A była to obojętność - nie nieuwaga - ponieważ oni zauważali, wzrokiem i węchem, obecność na drugim brzegu rzeki tej małej, zbitej z tropu hordy, którą jej przewodnik popychał jak oszalały poprzez wysokie trawy na płaskich ziemiach w kierunku wielkich drzew u stóp wzniesień. Ponieważ zauważą później, o ile już się to nie stało, wzrokiem i węchem, obecność pojedynczej samicy nie próbującej już więcej ani ukrywać się, ani wystawiać na ich widok, lecz czekającej po prostu w pobliżu, w ciernistych zaroślach...

Widziała swoich, jak uciekają, wszystkich i wszystkie z hordy, w której przyszła na świat. Widziała ich znikających w wysokich trawach i - dziwne - doznawała prawie takiej samej obojętności charakteryzującej zdumiewające zachowanie „innych”. Ale czy w tym momencie wiedziała, że już nigdy ich nie zobaczy? Czy pomyślała o tym?

Czy postanowiła tak na dobre i złe?

Zabrali się stąd i zniknęli, stając się obrazami w niej. Ona spędziła życie na połykaniu obrazów, dzień po dniu, noc po nocy. I stali się w tej chwili innymi obrazami, jakie ona wymyśliła. „Widziała” ich, jak biegną pośród wysokich traw, bez jednego krzyku, w pośpiechu, jak biegną ku dającym schronienie drzewom u stóp wysokich ziem, z tym-co-idzie-najszybciej na czele, a za nim ta-co-zawsze-za-nim-idzie, a potem najszybsi. Widziała nawet, jak wlecze się za nimi ten-co-chodzi-powoli-i-nikt-na-niego-nie-czeka, jak śpieszy się najbardziej jak umie, niezgrabnie, na swoich nogach zmęczonych zbyt długimi pochodami, zbyt obciążonych wspo-mnieniami - a potem przestała ich „widzieć”.

Na brzegu rzeki „inni” trzymali się w zwartej grupie. Byli tak liczni, że pierwsze spojrzenie nie wystarczyło, żeby ich rozróżnić, wszystkich i wszystkie. Wciąż było kilkoro ukrytych za drugimi.

Obserwowała ich, bez ruchu i bez ostentacyjnego ukazywania się, jedynie wyprostowała się w środku ciernistych zarośli. Ależ tak, oni ze swej strony wiedzieli o jej obecności, jednakże nie robili niczego, co mogłoby skłaniać do przypuszczenia, że ona ich in-tryguje. Albo że im przeszkadza.

Trzymali się wyprostowani, bardzo prosto, i praktycznie nigdy nie podpierali się rękami. Mieli twarze jeszcze bardziej płaskie niż ten-co-nie-ma-koloru-do-patrzenia. To były prawdziwe, uderzają-co różnice. Nieustannie je spostrzegała, nie przestawała zwracać na nie uwagi. Byli w wielkiej liczbie, mieli ten szczególny rodzaj zwyczajnego spokoju, promieniujący z każdego ich gestu. Wszyscy razem nie czynili ani połowy tego zgiełku, jazgotu i rozmaitych hałasów, jakie zazwyczaj wydawały samice hordy, którą ona знаła. Taki zgiełk w znacznej części robiła sama jedna ta-co-widzi-tyl-ko-jeden-raz. I nawet gdy niektórzy parzyli się pośpiesznie, robili to w ciszy, dalecy od wrzasków, jakie wydawała niekiedy w takich okolicznościach ta-co-chodzi-kołyszac.

Czasami ten i ów zerkał w jej stronę, nie czyniąc do niej żadnego gestu ani nie pokazując zębów, ani nawet nie spoglądając ze szczególną uwagą. Kilku samców zbierało okrągłe kamienie, czasami uważnie zastanawiali się nad nimi, zanim upuścili je na ziemię albo wrzucili do wody. Ale nie ciskali kamieni na drugi brzeg w stronę tego miejsca, gdzie widzieli uciekającą małą hordę, i nie rzucali ich wcale w stronę jej ciernistych zarośli. Zrozumiała, że musiało chodzić po prostu o coś w rodzaju odpędzania od nich czterech-łap, które chciałyby przyjąć się napić, albo tych-co--żyją-w-wodzie.

Umieli to robić. W tak oczywisty sposób, że widziała ich zamiar. Jednak zarazem zdziwiła się, gdy to zrozumiała, nigdy przedtem nie widziała, żeby ktoś tak robił. Jej samej nigdy nie przyszło do głowy, żeby tak robić. Zawsze starała się (i nie tylko ona) jak najmniej mącić powierzchnię wody, gdy sama piła, i robić możliwie jak najmniej hałasu, żeby nie ściągnąć uwagi jakiegoś wygłodzonego czterech-łapy silniejszego niż ona. Nigdy nie naszała jej myśl, że mącenie wody może wywołać u czterech-łap taką reakcję jak u niej samej, kiedy spostrzegała, że jakieś miejsce było zajęte.

60

Rozdarcie cierniem na wardze przestało krwawić, a teraz szczy-pało. W roztargnieniu zlizwała zakrzepłą krew z kącika ust, wciąż odganiając niebieską muchę krążącą wokół. Mucha usiadła jej na czole i ugryzła... Rozgniotła ją płaskim kłapinięciem, ale ruch spowodował inne uktucia cierni. Zauważyła, że w rzeczywistości była bardzo niewygodnie usadowiona w tych swoich zaroślach i jednocześnie ledwie zabezpieczona gdyby „inni” usiłowali usunąć ją stamtąd. Nie potrzebowaliby dużo czasu ani wysiłku, żeby tego dopiąć. Ryzykowała, że podrapie się dużo boleśniej, jeśli będzie im przeszkadzać.

Ale nie odważyła się natychmiast opuścić swojego ciernistego „schronienia”. Jeżeli oni ją widzieli, jeżeli wiedzieli, że ona znajduje się tu - wobec tego nie trzeba zwracać ich uwagi na siebie. Nie więcej, niż to

konieczne.

Postanowiła zaczekać, aż przejdą rzekę i pójdą śladami umykającej hordy. Wtedy pójdzie za nimi, w wystarczająco dużej odległości, i z daleka zobaczy to, co się wydarzy. Tak naprawdę już się nie bała. To było jakieś inne doznanie, to co odczuwała wewnątrz siebie samej, zarazem obawa, zwyczajna ostrożność i towarzyszące jej zdziwienie... I jeszcze coś, ale niezupełnie to. Coś nowego, nie-znanego, jak obca siła zdolna zmusić ją do pozostania tutaj, w cierniach, wyczekującą, wbrew wszystkim tym możliwym nie-bezpieczeństwom, całkowicie realnym, czającym się wokół.

Znowu przykucnęła. Z jednej strony - aby zachować dyskrecję, a z drugiej strony - ponieważ bolały ją nogi ociężałe długim nocnym podkurczeniem.

Przykucnąwszy, opróżniła brzuch z tego, co zawierał, twardego i płynnego, a potem pośpiesznie zasypała piaskiem żeby zniknął zapach. Zaczęło w niej burczeć. Dał o sobie znać poranny głód, za każdym razem taki sam, jak gdyby nie wydarzyło się nic nowego.

Patrzyła jak „inni” piją, jak zrywają liście z wielkich, szerokich roślin nadrzecznych, jak grzebią w ziemi, żeby wykopać jadalne korzenie. Im dłużej na nich patrzyła, tym bardziej burczało jej w brzuchu, tym wilgotniej robiło się jej w ustach.

Potem ruszyli się. Opuścili to miejsce nad brzegiem rzeki, dokąd przybyli napić się trochę i pochrupać. Ale nie przeszli przez wodę.

Nie podążyli śladami umykającej hordy.

Zamiast tego — zamiast tamtych obrazów, jakie ukazywały się jej w głowie, w oczekiwaniu, aż zobaczy, co się z nimi stanie - oni

61

posuwali się spokojnie, najpierw mała grupa, potem następna, następna, i to byli wszyscy i wszystkie pod przewodnictwem jednego (a być może, że więcej) co-chodzi-najszybciej. Szli za prądem wody, po tym brzegu. Szli w kierunku, w-jakim dawno udała się mała horda, w kierunku wiodącym do krańca terytorium o przyjaznych i znajomych zapachach, ku ziemi, gdzie zawsze opadał biały ogień nieba.

Nawet nie zerknęli na nią ani razu.

W brzuchu burczało jej jak nigdy, to coś wysoko zaczęło w niej gwałtownie walić „inni” bowiem nie interesowali się od tej pory małą hordą. Przez chwilę była całkiem zdezorientowana. Zastana-wiała się, czy aby „oni” wyraźnie zauważyli ich obecność, wielu po tamtej stronie rzeki i ją jedną po tej stronie. Już nie wiedziała, co

o tym myśleć.

Gdy odeszli tak daleko, że opadł ostatni pył po ich krokach, wystarczająco daleko, żeby przycichł

szczebiot małych i dawał się rozróżnić jedynie z trudem, wysunęła się z zarośli... Nie bez tego, żeby jeszcze raz rozedrzeć sobie plecy ostrymi zębami rośliny.

Tam dalej, w wysokich trawach porastających płaskie ziemie, wątle bukiety drzew, osamotnione, wyprostowane niby zdziwione sylwetki, obserwowały przejście wielkiego sznura nowo przybyłych. A na ich gałęziach pousiadały te -co-ślizgają-się-rozpościerając--swoje-lekkie-ramiona-i-uderzają-powietrze-z-cichym-łopotem. Wszyscy spoglądali na przejście nowo przybyłych - nie było niczego innego do oglądania. Tylko mała horda nie brała udziału w tym zdziwieniu. Mała horda uciekała od dawna, jeszcze zanim wielkie światło wstało z ziemi. Biegli, biegli, ten-co-chodzi-najszybciej

1 wszyscy pozostali, i samice dyszące ciężko pod ciężarem swoich

małych. Biegli, biegli...

Widziała ich, biegnących. Nie oglądali się za siebie. Zdąжали ku wielu gęstym drzewom u podnóża wysokich ziem, już się nie obawiali wpaść w tę dziurę, dokąd chowają się światła dnia i nocy. Gdy przybyli pod drzewa, zatrzymali się, odwrócili. Spostreżgli, że tego-co-chodzi-powoli już z nimi nie było, i nie zrobili niczego, żeby po niego wrócić.

Mogłaby przekroczyć rzekę - poczekać aż „inni” oddalą się bardziej, aż dźwięk ich głosów stanie się bardziej rozproszony, a potem przebyć wodę. Najpierw do farchy z kamieni i pachnących roślin, a następnie drugą część wody aż do przeciwległego brzegu.

64

Po drugiej stronie pobiegłaby do miejsca, gdzie ich widziała, skąd żwawo odeszli nękani przez tego-co-chodzi-najszybciej. Gdyby znalazła się w tym miejscu, bez trudu mogłaby zwietrzyć ich zapach, jeszcze świeży, i pójść za nimi. I nawet jeśli jej nogi nie mają już tej zwinności jak przed tym, zanim pierwsze dziecko wyszło z jej brzucha, niemniej biega jeszcze na tyle szybko, że mogłaby dogonić tego-co-chodzi-powoli, zanim żar z nieba stanie się największy. A potem, razem z nim... mogłaby...

Zaczęła iść. Szła od zarośli do zarośli, minęła to miejsce, gdzie przeszła rzekę pierwszy raz, poprzedniej nocy.

Ten-co-chodzi-powoli nie zatrzymał się, żeby na nią czekać,

jeżeli szedł powoli, to nie dla niej. Dla nikogo. Szedł powoli,

ponieważ nie mógł już iść szybko, a tym bardziej biec, i dlatego, że

już nie był zdolny do niczego albo prawie do niczego. Siadał koło

zarośli jagodowych, obok dzieci i bez wątpienia zostałby pierwszy

zjedzony przez pożeracza, gdyby tam się jakiś pojawił. On wcale nie czekał na nią bardziej niż inni z hordy ani się nie kłopotał tym, co się z nią stało.

Dołączyć do nich w towarzystwie tego-co-chodzi-powoli, to znaczy iść samej prawdopodobnie aż do końca tego światła. Aż do następnego powstania mroku.

Podążała w ślad, poprzez kępy wysokich traw rosnących na skraju chaszczy. Przez zarośla z pniami drzew. Dokładnie w tej chwili, gdy zastanowiła się jeszcze, czy kiedykolwiek będzie mogła odnaleźć swoich - wszystkich i wszystkie, jedynych, do których przywykła - i czy to się stanie. Gdy zastanowiła się, gdzie i kiedy ich odnajdzie, zamknęła gwałtownie oczy.

Twardo zacisnęła zęby.

Znowu otworzyła oczy, oślepiło ją światło. Przez chwilę, przez bardzo krótką chwilę. Oślepiająca białość zrzędła, to było tak, jak mroczne sylwetki wynurzają się z migotliwej powierzchni wody. Oni byli przed nią i posuwali się spokojnie, zbierali tu i ówdzie, skrobali, wyrywali, odłamywali i wykopywali.

Tkwiła nieruchomo za pnem pokrytym pnącą rośliną. Wyciągnęła rękę, zrywała liście, wkładała je do ust i żuła. Ona tym bardziej nie spoglądała do tyłu.

Szła za nimi, ostrożnie zachowywała dystans na odległość głosu. Gdy oni szli mniej szybko, zwalniała i ona. Posuwała się bez robienia

65

hałasu, próbowała stać się możliwie najmniej widoczna. Zgięta, podpierała się często rękami, żeby zachować równowagę podczas marszu.

Tu i ówdzie, trochę na chybił trafił, a przede wszystkim żeby dokonać gestów - gestów tych, co zawsze - zbierała apetyczne liście i kolorowe jagody, jakie zostały po ich przejściu. Poruszała się całkowicie w śladzie ich mocnych zapachów. Miała podrażnione kąciaki oczu od silnego wypatrywania w pełnym świetle.

Oni zaś posuwali się spokojnie. Słyszała, jak jazgoczą. Niektórzy powarkiwali. Pewne intonacje nie były jej obce pomimo dystansu osłabiającego ton. Słuchała i było to najbardziej zdumiewające: potrafiła rozpoznawać dźwiękowe wyrażenia, jakie wymieniali między sobą. Bo ona wiedziała, co chcieli wyrazić, tylko na podstawie słuchania dźwięków, jakie oni wydawali. To były takie same wyrażenia, jakimi wymieniano się w jej dawnej hordzie. Wiedziała, że pożąдали niektórych jagód, szczególnie przyjemnych do oglądania. Wiedziała, że byli zadowoleni z jedzenia, wiedziała, że nie obawiali się głodu, że zabraknie jedzenia. Wiedziała, że małe złościły swoje matki, że młode samce ścierały się głosem o jakąś samicę

0 wyjątkowo miłym i pociągającym zapachu, zanim zetną się

pięściami i zębami.

To było tak, jak gdyby znajdowała się razem z nimi.

A pomiędzy nimi był także więcej niż jeden co-chodzi-powoli. Nie tylko jeden samiec, ale wiele samic.

Nie widziała tam nikogo noszącego ślady walki, zębów i pazurów jakiegokolwiek cztery-łapy. Według tego, co mogła o tym sądzić, oni wszyscy zachowali swoje ciała w całości. To była silna horda, tyle ust wypełnionych zębami, tyle pięści, że zgłodniałe cztery-łapy musiały długo się wahać z atakiem. I pozeracze również. I jeszcze te-z-oczami-z-kamienia-o-sierści-jak-noc i te-z-sierścią-na-grzbie-cie-jak-sucha-trawa.

Szła z nimi, za nimi, na odległość głosu. Słyszała ich krzyki, gdy się nawoływali, gulgotania, jakie wydawali, żeby wyrazić zadowolenie, a czasami, tak słuchając, ona sama miała twarz przyjemnie odprężoną, uspokojoną.

Ci -co-chodzą-powoli więcej niż jeden raz zwlekali, zbierając to

1 owo bez pośpiechu, albo pomału grzebali pod jakąś jadalną rośliną.

Podnosili głowę i spoglądali w jej stronę. Więcej niż jeden raz była

pewna, że ją widzieli - ale oni w dalszym ciągu zbierali albo grzebali

66

w ziemi, bez jednego krzyku, bez powarkiwania na nią i pokazywania, że są zdecydowani odpędzić ją, jeżeli zbliży się za bardzo.

Czy było tak dlatego, że stali się powolni nie tylko do chodzenia? Czy dlatego, że stali się powolni także do patrzenia? I do wężania?

Jednakże ona niczego nie wykorzystywała. Wcale nie próbowała podejść bliżej, przeciwnie, nieruchomiła. Jeśli zbierała, jej ręka pozostawała w zawieszeniu; jeśli żuła - tak samo, jej zęby przerywały gryzienie i nie spieszyła się z połykaniem.

Nieco przed końcem tego wielkiego światła spędzonego na posuwaniu się ich śladem zobaczyła, dlaczego ich obecność niesie tak mocną woń śmierci. I była tym przerażona.

I od tej chwili było za późno, żeby tego uniknęła.

W

IDZIAŁA wielkie czarne ślizgające się powoli po niebie, te-o-ustach-z-kości-i-lekkich-ramionach. Bez

wątpie-nia horda „innych” - tak czy inaczej, a przynajmniej ten, co ich prowadził - również je zauważyła.

Tutaj czerwień ziemi była intensywniejsza, widać ją było wszędzie, niby skórę na wielkiej czaszce z bardzo przerzedzoną sierścią. Ten obraz przyszedł do niej, gdy wyprostowała się ponad parów, żeby nisko pod stopami zobaczyć pejzaż aż tam, gdzie stawał się niewidoczny, zmieszany z krawędzią nieba.

Znała tę rozległą przestrzeń położoną na krańcu znanego terytorium, przemierzanego przez jej dawną hordę. Ona sama przebyła ją dwa razy. Ziemia była płaska i długa, rozciągnięta we wszystkie strony, lekko nachylona i tam, po tamtej stronie oddalonych szeles-tów, obramowana nowymi zaroślami gęstych drzew. Lecz pomiędzy ogołoconym grzbietem wąwozu a tamtymi zaroślami była przede wszystkim czerwona ziemia podobna do obdartej czaszki, lekko wygięta tu i ówdzie, pożłobiona i pomarszczona nie tylko tak jak czaszka, ale jak twarz nosząca dużo wspomnień. Beładne zarośla to nie te, które się zjada. One miały liście spiczaste i twarde, tnące, albo pęki cierni. Ich pnie były powykręcane, suche i zbiegające albo też nie wznosiły się wyżej niż oczy, kiedy stoi się prosto na dwóch nogach. Składają się głównie z ząbkowanych liści na giętkich łodygach (te liście zjadało się, gdy były małe, ale teraz nie). Cienie nie były bardzo gęste, wyglądały na delikatne od samego tylko patrzenia, nie miały tej przyjemnej, chłodnej konsystencji jak tamte cienie otaczające poważne drzewa, których gęste listowie zakrywa światło.

A w błękitnym powietrzu krzyżują się powolne i czarne ślizgi tych-o-ustach-z-kości-i-ramionach-tak-lekkich, krzyżują się ponad tamtymi ziemiami. Ciszę przecinają ich ostre, chrapliwe, suche krzyki.

68

W pewnym momencie w tym właśnie kierunku skręciła horda, usłyszawszy krzyki wypadające z kościanych ust, zauważywszy ślizgi powolne i czarne, tam, wysoko.

W jej dawnej hordzie, jeszcze wczoraj, gdy słyszało się krzyżące kościane - usta nad okrągłymi ślizgami kończącymi się spadaniem jak kamienie z najbardziej wysoka, gdzie krążyły - raczej unikało się bycia w tym samym miejscu, to znaczy pod ślizgami, ponieważ to groziło spotkaniem jakiegoś pożeracza będącego w trakcie rozszarpywania zdobyczy. Te tam wysoko, w wielkiej liczbie albo samotnie, nie krążyły z innego powodu, a gdy nurkowały, gdy zniżały się na ziemię, to tylko wtedy, kiedy pożeracze oddaliły się zostawiając ze swej zdobyczy zaledwie kilka krwawych kęsów. Kościane usta musiały często klócić się o te resztki z innymi zjadaczami na czterech łapach, z tymi-co-krzyżują-wieloma-urywanymi-krzykami.

„Inni” robili zupełnie na odwrót. Oni podążali za nimi (co mogli robić w tej chwili?), to zaś, czego dokonywali z nimi naśladując ich, z powodzeniem mogłoby być wbrew wszelkiej ostrożności i na przekór wszelkim regułom nabytym doświadczeniem. Lecz ona wcale nie obawiała się nieprzewidzianych konsekwencji, jakie mogły z tego wyniknąć. Albo może: nie wydawało jej się, że działania, jakie oni naśladowali, mogły mieć zły dalszy ciąg. A jeśli nawet, to tak silna horda musiała umieć pokonywać i

przewycięzać przeszkody, na jakie się natknęła.

Oni opuścili brzeg rzeki. Oni wdrapywali się żwawo i nie-spodziewanie po pochyłości wąwozu wznoszącej się w sporej odległości tam ponad linią drzew. Wydawali okrzyki niecierpliwości i podniecenia, poruszali ramionami. Widziała więcej niż jednego zbierającego kamienie i trzymającego je w ręku. Nieśli je ze sobą, nie rzucali ich ani nie uderzali nimi w jakikolwiek sposób. W pewnej chwili sądziła, że zaraz cisną tymi kamieniami w tych-o-u-stach-z-kości-krążących-ponad. Ale to by było niezwykle rzucać w nich kamieniami, to by było niedorzeczne myśleć, że można by zrobić w ten sposób. Ona także podniosła kamień i trzymała go w ręku.

Posuwała się za hordą przeskakując od pagórka do pagórka. Od tej chwili jedna rzecz była pewna: oni nie mogli dłużej ignorować jej obecności, udawać, że nie wiedzą, że ona idzie za nimi. Zbocze wznosiło się praktycznie w odkrytym terenie, poprzez rzadkie rośliny, zbyt wysokie i ogołoczone, aby można skryć się pod nimi,

69

ii

zbyt niskie, żeby wystarczyły jako skuteczna zasłona. Oni z całą pewnością wiedzieli, że ona tam była i że szła za nimi. Ci, co chodzą powoli, wdrapywali się jeszcze wolniej, ale starali się nie dać się zdystansować. Zdawali wysiłki dążąc do szczytu parowu. Spój-rzenia, jakie rzucali wstecz, były pośpieszne, ukradkowe, po prostu zdziwione, w rzeczywistości ani badawcze, ani zniechęcające, dość obojętne, dobrze pasujące do ich ogólnego zachowania na jej widok. Gdy najpowolniejszy zatrzymał się wydając ustami głośne, chrap-liwe dźwięki, ona zatrzymała się tak samo, tam gdzie się znajdowała, to znaczy na ogołoczonej ziemi, pomiędzy dwoma zielonkawymi kępami roślin. Nie spodziewała się ich dosięgnąć. Była tak blisko niego, że doskonale rozróżniała przeredzone plamy sierści na podstawie jego czaszki. Widziała, że miał jej również bardzo mało na plecach, z wyjątkiem barków i łędźwi. Nie była pewna, czy takie przeredzenie sierści wynikało z wielkiej wagi wspomnień: inni z hordy, samce i samice, których długość życia sytuowała się pomiędzy małymi a ostatnimi, bynajmniej nie mieli więcej sierści.

Nie przeszkadzali jej posuwać się za nimi. Najwidoczniej nie żywili najmniejszej obawy, wiedząc, że ona tam jest - jej ręka dzierżąca kamień absolutnie nie robiła na nich wrażenia.

Ze szczytu parowu obserwowała ich, jak biegną do tego miejsca na czerwonej ziemi, pod kołami zataczanymi przez tych-z-koś-cianymi-ustami. Gdy zrozumiała, że oni kierują się akurat do tego punktu - zaś o pomyłce nie mogło być mowy - opuściła swoje stanowisko obserwacyjne na szczycie nagiego parowu i zeszła w ślad za nimi, zachowując dystans.

Następnie „inni” przybyli do podnóża zbocza. Nie zwalniając pochodu szli swoją drogą, prosto w kierunku rysującego się celu. Poruszali ramionami, podskakiwali i krzyczeli gardłowymi głosami przechodzącymi w prawdziwe wycie. Tam wysoko te-z-kości-any-mi-ustami szybowały nad jednym miejscem. Ich ślizgi były bardzo krótkie, zataczane wokół siebie samych.

Zapach tego, ku czemu biegli wrzeszcząc, smagnął nagle powie-trze, wytrysnął ponad krzyki, uderzył w nozdrza małej samicy przykucniętej u podnóża parowu w kępie suchych traw. Tamtędy przeszła horda „innych”, a teraz ona tam się zatrzymała. Silny, cierpki odór wwiercał się w głębi jej nozdrzy.

Widziała umykające cztery-łapy, których krzyk jest wielokrotny i urywany - zjadaczy nieruchomego mięsa. W jej dawnej hordzie

70

zawsze się ich unikało, a zwłaszcza gdy jedli. „Inni” przeciwnie, wydawali wszystkie te odstrasające krzyki i biegli wprost na nich... Aż strach zakręcił w brzuchach tych -których-krzyk-przypomi-na-wiele-krzyków. I oni uciekli daleko stąd, na dużą odległość, dalej niż podskakujące kamienie ciskane w ich stronę przez niektórych z hordy.

Patrzała z otwartymi ustami, zaschło jej w gardle z oszołomienia. Usiłowała przełknąć, ale wilgoć ulotniła się z całego jej wnętrza. Czowała, że to coś w niej uderza mocno i wysoko, może właśnie odciągnęło wilgoć. To coś uderzało tak mocno, że powstał nieomal prawdziwy hałas. Ona go słyszała, po drugiej stronie uszu, w głowie. Zdawało jej się, że głowę ma bardzo obszerną i bardzo pustą, całkowicie zrobioną do tego hałasu, i że zawierała - nie rozbijając się - całą niedopuszczalną i niepojętą obrzydliwość tego, co odkryła.

Nie wystarczyło im, że byli dostatecznie silni i wystarczająco liczni, żeby przerazić bandę zjadaczy nieruchomego mięsa. Zrobili tak dlatego, żeby ukraść to pożywienie czterem-łapom-któ-rych-krzyk-jest-jak-wiele-krzyków.

Najpierw otoczyli porzuconą zdobycz, częściowo pożartą przez jakiegoś wielkiego pożeracza. Niczego więcej dokładnie nie widziała, z wyjątkiem tego, że utworzyli coś w rodzaju ruszającego się bloku, że inni trzymali się w oddaleniu i w dalszym ciągu robili gesty w kierunku czterech łap. Wciąż jeszcze krzyczeli, podnosili wielką wrzawę. Widziała, jak z rąk do rąk przechodziła głowa porzuconej zdobyczy. Był nią jeden z tych-wielkich-z-gałęziami-na-górze. Potem pozostawili ją w kręgu małych.

To coś w niej uderzało bardzo mocno, w ustach coraz bardziej zasychało.

Zdała sobie sprawę, że tak zacisnęła palce na swoim kamieniu, aż zabolęła ją wewnątrz dłoni.

Po czym krzyki i gestykulacja wśród „innych” z hordy równo-cześnie uspokoiły się. Kucali albo pozostawali stojąc, nie biegali już we wszystkie strony wokół zdobyczy.

Oni jedli.

Zahaczali o mięso dłońmi, miażdżyli je i kawałkowali paznok-ciami, zębami, lecz także kamieniami zebranymi z ziemi i od-rzucanymi, gdy zdolali odciąć to, co chcieli, albo złamać kość, z której wysysali środek i resztki. Szarpali, kęsal, żuli. Czasami kłócili się o kawałek, gdy dwóch albo więcej schwyciło go.

Oni byli jak cztery-łapy. Gryźli się pomiędzy sobą.

Małe biegały wokół i oddalały się niekiedy o wiele długich kroków, zanim nie przywołał ich krzyk.

Gryźli się pomiędzy sobą i wiedzieli, że są silni. Nie bali się niczego.

Usta miała bardziej suche niż ziemia pod stopami. Nagle zaczął prażyć żar, bardzo mocno, prosto w czubek czaszki. Widziała jakby gwałtowne i krótkie światło przed oczami. To było tak, jak gdyby jej palce przeniknęły w kamień, który ścisnęła.

Teraz kamień potoczył się pomiędzy inne kamienie. Małe-czarne-gryzące-stworzenia biegały po grudkach ziemi, dokładnie podobne do tych, które obserwowała na brzegu rzeki, gdy pierwszy raz zobaczyła „innych”. Słyszała słabe odgłosy, jakie one wydawały, zanim otworzyła oczy i doleciał do niej całkiem inny dźwięk. Potem to światło spadające na nią (tak jej się wydawało) rozdzieliło się i rozproszyło. No więc położyła się na czerwonej ziemi. A tam „inni” opuścili punkt, w którym widziała, jak jedli jednego cztery-łapy, zdobyczą ukradzioną tym-co-krzyczą-wieloma-krzykami, którzy są-mi ukradli pożeraczowi.

Ona dobrze widziała. To nie był jeden z tych obrazów przechodzących przez sen.

Ona dobrze widziała, ponieważ to się działo jasno i wyraźnie przed jej oczami, a gwałtowne i krótkie światło spadało na nią z góry. Pogrążyła się w czymś w rodzaju snu, tak jak wtedy, gdy strach podnosi się zbyt szybko, że nie można już biec ani poruszać się. Upłynęło wystarczająco dużo białego czasu, następnie czarnego, żeby wielki rażący żar opadł trochę i zszedł ku ziemi.

„Inni” oddalili się. Horda rozproszyła się jak rozpostarta, jak gdyby oni naprawdę nie obawiali się niczego, żadnego cztery-łapy mogącego wyłonić się w każdej chwili, z każdej strony na czerwonej ziemi. Szli powoli, od zarośli do zarośli, zbierając i chrupiąc. Grupa samców trzymała się trochę z boku, śledząc zarazem hordę samic i otoczenie. Szli, oddalali się w kierunku podnóża długiego od-krytego skłonu, wznoszącego się, a potem opadającego, oddzielającego ich od rzeki.

Zauważyła tam, dalej niż podnóże pagórka, płaską plamę rzeki. Do tego miejsca spokojnie zmierzała horda.

Wyprostowała się. Wciąż miała wrażenie, że jej głowa jest zbyt obszerna jak dla niej i dziwnie wydrążona. Poszukała wokół siebie

kamienia, ale nie znalazła go, nie potrafiła wybrać. No więc chwyciła jeden, na chybił trafił. Mocno ścisnęła w palcach. Tymczasem przeniknęło ją krótkie wrażenie uspokojenia, a potem to odczucie opadło równie szybko i lekko, jak powstało. Rozpierzchnęło się, jak gdyby nigdy nie istniało. Chciała zachować jego obraz, ale nie było takiego obrazu. Nie znała niczego, co pozwoliłoby jej zbudować obraz. Upuściła kamień, był całkowicie bezużyteczny, widziała, jak toczy się po ziemi. Znowu go schwyciła, ścisnęła w

palcach, przycisnęła do siebie... Ale nie poczuła niczego podobnego do doznanego wrażenia. Na" dobre porzuciła kamień. Podniosła inny. Następnie jeszcze inny. Upuściła je po tym, jak przyjrzała się im ściśniętym obu. Nie służyły do niczego.

Później, gdy światło obniżyło się, a cienie wydłużyły, podniosła się na czworakach i zbliżyła do tego miejsca. Burczało jej w brzuchu. Gdy zamknęła oczy, zaciężyła jej głowa z powodu gorąca, a także dlatego, że prawie niczego nie jadła.

Najbliżsi znajdowali się od tego miejsca na odległość zapachu. Teraz rozbili się na wiele grup. Jej zapach z łatwością dolatywał do nich. Wiedziała o tym, ponieważ oddech niewidzialnego prze-chodził najpierw nad nią i sunął w ich stronę.

Posuwała się bardzo ostrożnie, czasami skokami, zatrzymywała się, znowu ruszała.

Ale oni wcale nie zwracali na nią uwagi.

Ona nie miała najmniejszego znaczenia. Ani dla tych z przodu, którzy uciekli nie przejmując się nią (dlaczego oni to zrobili?), ani dla tych teraz (jakiż mogła mieć dla nich znaczenie?). Była sama i szła za nimi. Gdy postanowią ją zabić, żeby ją zjeść, zwrócą się w jej stronę.

W miejscu, gdzie przebywali, ich obecność była jeszcze tak mocna, że wydawało jej się, iż sączy się z samej ziemi i unosi nad nią. Zapachem przesycone były gałązki pobliskich zarośli, o które się otarli.

Głowa zdobyczy była zmiażdżona, strzaskana, kawałki gałęzi z kości wałały się na ziemi. Nad tym wszystkim unosił się przy-tłaczający zapach tego-z zębami-co-uderzają.

Tam wysoko te-z-kościowymi-ustami-i-z-wielkimi-lekkimi-ra-mionami przestały krążyć, oddaliły się.

W odległości większej niż ich zapach cztery-łapy-krzyczą-ce-wieloma-krzykami chodziły tam i z powrotem, jęcząc głośno i żałośnie.

73

Zebrała kawałki kości, podniosła je do ust, ale zanim dotknęła ich wargami, jej brzuch wywrócił się w niej i wypluła wszystko, co zawierał. Opadła w przysiadzie. Nogi i ramiona miała zarazem ciężkie i miękkie.

Mogli tylko czekać. Gdy zdecydują się roztrzaskać jej głowę, odwrócą się i pójdą w jej stronę. A ona tu będzie, ponieważ nie miała żadnego innego miejsca, żeby być. Ponieważ przyszła za nimi aż tutaj i ponieważ dopóty, dopóki starczy jej sił, będzie szła tam, gdzie oni idą.

Gdyby była równie silna jak oni, gdyby nauczyła się ich gestów, gdyby miała na to czas... Gdyby była taka jak jedna z nich, być może nie powzięliby myśli, żeby ją zjeść?

N

O więc szła tak za nimi, długo. Towarzyszyła im. Pierwsza noc była najdłuższa i ona nie spała. Od czasu do czasu zamykała oczy, przyciskała głowę do pnia drzewa, na którym zaplotła ramiona. Sen krążył wokół niej, a gdy spadał, parskając żwawo, żeby go odpędzić.

Nie wzięła na pierwsze lepsze drzewo, jakie się nadarzyło. Przeciwnie, starannie wybrała w oddechu niewidzialnego, łagodnie przemierzającego mrok, niosącego zapachy „innych”. W ten sposób trzymała się jak gdyby trochę pośród nich, otulona poczuciem, że mogłaby przytulić się do ich ciepła. Napływały obrazy, odnajdywała w nich te chwile, gdy spała przy tym-z-jednym-ramieniem. Na jej twarzy widniał wyraz zadowolenia. Długo pozostał, nawet po serii dreszczy, jakie nią wstrząsnęły, i rozplątał się bardzo powoli.

„Inni” czuli się tak mocni, że nie uważali za konieczne z ostrożności wdrapać się na drzewa, żeby spać. Z całej grupy tylko kilku siedziało na gałęziach, wybrali pnie najgrubsze i najbardziej odosobnione. Reszta hordy ułożyła się na ziemi u podnóża drzew, przyciśnięci jeden do drugiego albo zwinięci w kłębek. Czuwali tylko ci, którzy wdrapali się na gałęzie ponad ziemią. To było to, co zrozumiała... I wydało jej się całkowicie nieodpowiednie, żeby członkowie jej hordy (dawnej hordy) mogli postępować w ten sposób... Jak również całkowicie nieodpowiednie było jedzenie mięsa zdobyczonego przez pożeracza. Ani przez jedną chwilę nie wyobrażała sobie, że ona sama mogłaby odgrywać taką rolę wartownika w służbie swoich. Może po prostu dlatego, że nie wydawało jej się dopuszczalne powierzenie swojego snu komukolwiek spośród samców i samic, z którymi nauczyła się życia.

Ale „inni” robili tak. Zupełnie naturalnie. Tak jak potrafili ciskać kamieniami, żeby odpędzić tych, których widzieli. Tak jak jedli mięso czterech-łap i odebrane innym czterem-łapom.

Tej nocy, tej pierwszej nocy, jeżeli żwawo odpędzała każdy napad senności, robiła tak dlatego, że obawiała się, by nie ściągnął jej nagle zbliżający się pożeracz - wszystko jedno jaki pożeracz - albo jeden z „innych”. Ale nie widziała nikogo, kto usiłowałby ją zjeść. Gdy powstało wielkie światło, po prostu z ogromnym trudem zszła z drzewa i zaczęła iść, bez zwłoki. W plecach i ramionach czuła bolesną sztywność. Na jej udach odcisnęły się głębokie ślady od gałęzi, na której siedziała przy pniu.

W bladym blasku pierwszego światła, jeszcze nikłym, „inni” oddalili się i podjęli kierunek w stronę rzeki.

Posuwała się za nimi.

Posuwała się za ich zapachem. Szła za nimi z tyłu, na odległość woni. I tak jak oni kroczyła po ziemi, poprzez trawy i zarośla, po glebach czasami łagodnych pod stopami, czasami usłanych ostrymi kamieniami. Gdy były to ostre kamienie, nie upływało wiele czasu i już - najpierw samce, ale także samice - zbierali je i zaczęli rzucać tu i ówdzie. Ciskali kamieniami we wszelkiego rodzaju rzeczy: w inne kamienie, w pnie albo w niektóre gałęzie jakiegoś drzewa, a gdy trafili w cel, cokolwiek to było, wszyscy

wydawali okrzyki zadowolenia, przyjemne do słuchania. Niekiedy rzucali kamieniami w stronę grupy czterech-łap ryjących ziemię płaskimi pyskami i zakrzywionymi zębami. Sprawiali wrażenie, że nie żywią najmniejszej obawy przed ich szarżą. Zresztą nie było szarży, było odwrotnie: ryjące-ziemię odsuwały się nieco dalej albo pozostawały obojętne.

Rzucali kamieniami nieustannie, zbierając je tu i ówdzie, takie i siakie. Nie wszyscy zbierali kamienie, nie wszyscy rzucali nimi. Ale było ich wielu, tych, co się tym zajmowali. Wydawali przyjemne okrzyki, gdy pocisk roztrzaskiwał namierzoną gałąź.

Za pierwszym razem, gdy wzięli się do rzucania kamieniami, znieruchomiła i schowała się najlepiej jak umiała. Położyła się plackiem w trawie... Nigdy, ani razu nie znalazł się nikt, kto by cisnął ostrym kamieniem w jej kierunku.

Ona sama też podniosła kamienie, ale nie ważyła się nimi cisnąć w nic. Trzymała je w ręku, ścisnęła w palcach, a gdy twarde kawałki oblepił pot - upuściła je. Podniosła inny kamień.

Najczęściej szła po ziemi, lecz niekiedy wdrapywała się na drzewa. Gdy to było możliwe, przemieszczała się w taki sposób. Wykorzystywała to, żeby pośpiesznie zjadać krucho liście, napychając sobie usta pełnymi garściami. Rwała je zamasyżście.

76

„Inni” wdrapywali się tylko z rzadka. Z wyjątkiem tych, którzy przestali już być całkiem mali, ale nie byli jeszcze całkiem czym innym. Ci robili to bez powodu, żeby tylko huśtać się i wydawać krótkie wesołe pokrzykiwania, dziwnie przypominające to, co mówią cztery-łapy-zjadacze-nieruchomego-mięsa, których krzyk jest jak wiele krzyków.

Szła za nimi, żeby nie zostać samą na zawsze, zapomnianą aż do chwili, jaka szybko nadejdzie, gdy zostanie bez wątpienia pożarta przez jakiegoś wygłodniałego z zębami bardziej tnącymi niż kamień. Żeby zrozumieć sposób/w jaki rzucali dźwięki. Ona już wiele z nich rozumiała: były także podobne do tych, które ona sama potrafiła wydawać, a wraz z nią ci z jej dawnej hordy...

Nie widywała teraz częściej obrazów dawnej hordy albo były to obrazy bardzo odległe, dużo przed tym momentem, kiedy zobaczyła „innych” na brzegu rzeki. Obrazy pokazywały tego-z-jednym--ramieniem, jeszcze żywego.

Postępowała za nimi, żeby być w ich cierpkim i szczypiącym zapachu. Ten zapach już jej nie przeszkadzał. Przyzwyczyła się łączyć to, co widziała - to co konkretnie miała przed oczami - z obrazami martwego mięsa i pożeraczy. Szła za nimi, żeby ich poznać.

Jeszcze raz ujrzała, jak biegną do miejsca pod kołami zataczany-mi przez tych-z-wielkimi-lekkimi-ramionami-i-ustami-jak-kość. To był znowu jeden z tych, co biegają tak szybko na swoich cienkich i lekkich nogach, z wyrostkami na czubku głowy podobnymi do zębów

tego-z-zębami-co-uderzają. On nie był martwy, lecz miał złamane dwie przednie nogi, twarde kości przebiły mu skórę. Wokół niego krążyła w ciszy banda tych-których-krzyk-jest-wieloma--łączącymi-się-krzykami. Silny zapach był przemożniejszy niż strach. To już był zapach śmierci. Już wtedy, gdy przerażony nieszczęśnik przestał się ruszać, a kły krzykaczy otworzyły mu brzuch, żeby rozrzucić wnętrzności.

„Inni” zbierali kamienie i ciskali, jeszcze jeden raz. Oddalili bez trudu małe czkające krzykacze, mimo że jeden z nich sprawiał wrażenie, przez chwilę, że zbyt łatwo nie zdecyduje się porzucić swojego wciąż żywego posiłku. Ale dosięgnęły go kamienie, równie ostre jak krzyki, i przecięły mu skórę do kości. Pocięła krew.

Ona krzyczała, ona także, ale prawie szeptem.

Następnie kamienie posypały się na zdobycz. Zadali jej ostatnie

77

razy za pomocą jej własnych kości, zagiętych i spiczastych. Złamali je oddalając jedną od drugiej, a potem wyrwali z głowy.

Później, po nocy, która nastąpiła, była sama jedna w tym miejscu, we wznoszącym się świetle. Długo pocierała rękami

o ziemię i podniosła jedno warg. I znowu było tak, jak gdyby brzuch

wywrócił się w niej. Kawałek skóry, który podniosła, wypadł

spomiędzy jej palców.

Ale ona chciała stać się tym, czym oni byli. I wiedziała, że nigdy tego nie dokona.

Mijały wielkie światła. Mijały czasy ciemne. Dnie i noce.

Pewnego dnia posuwała się za hordą „innych”. Żywiła się tym, co znalazła na swojej drodze: liśćmi, trawą, owocami, korzeniami, jakie zawsze jadała. Zbierała, zrywała, odgryzała, wykopywała. Nie było tego dużo, gdyż większość czasu zużywała na śledzenie

1 uczenie się „innych”. Nie mogąc zbierać, zrywać, wykopywać,

odgryzać w ich towarzystwie, musiała się zadowalać tym, co oni

pozostawili. Mogłaby szybko biec, żeby odgryzać, zrywać, zbierać

i wykopywać przed nimi, tam gdzie oni jeszcze nie przeszli, ale nie

robiła tego. Była prawie pewna, że gdyby ważyła się na taką

inicjatywę, ich doskonała obojętność wobec niej skończyłaby się bez
zwłoki. Zaraz zaczęliby zbierać kamienie...

Nocą wybierała jakieś drzewo w ich pobliżu, skąd mogła ich widzieć... i słyszeć. Pozwalała, żeby sen
ogarniał ją raz po raz, nigdy całkiem nie zamykała powiek.

Nie widzieli tego-z-zębami-co-uderzają, ale słyszeli go, jak warczał jednej nocy, a potem innej. Spotkali
go dopiero potem.

Szła po drzewach.

Teraz nie była to już ziemia płaska i łysa, jak stara skóra, z małymi przystrzyżonymi krzakami w
największym nieładzie. Teraz były gęsto rosnące drzewa, wysokie, z masywnymi pniami, z wieloma
szerokimi i sękatymi gałęziami. Ich nieprzeliczone odnóża nosiły liście gęstego koloru, jakby wciąż jeszcze
znajdowały się w nocy. Dużo było drzew. Gdy spoglądało się do góry, nie widziało się już w całości
tego-co-jest-ponad - rozróżniało się je zaledwie trochę. Światło przenikało przez liście i opadało migocząc
jak woda. Trudno było długo na nie patrzeć, ponieważ potem takie same błyszczące punkty tańczyły
przed oczami, tam, dokąd one patrzyły.

78

Poprzedniego dnia „inni” szli wzdłuż drzew nie wchodząc pod nie. Tej nocy wdrapali się na najlepsze
gałęzie, na wysokość dwóch albo trzech wzrostów.

Widziały ich, jak to robią, ze swojej odosobnionej grzędy,
praktycznie przyklejona na jej skraju. Tym razem nie wydawali jej
się bardzo sprytni, dużo mniej niezawodni niż wtedy, gdy ciskali
kamieniami albo wyrwali kończyny jeszcze ruszającej się zdobyczy.
Mogłaby zejść ze swej gałęzi, podejść do nich i pokazać samicom, jak
powinny przyklejać ciało w najlepszych rozwidleniach, cały czas
przyciskając do siebie swoje małe, bez ryzyka upadku albo upusz-
czenia małego przy najlżejszym poruszeniu. (

Ale nie zrobiła tego.

Tej nocy znowu słyszeli porykiwania tego-z-zębami-co-uderza-ją; słyszeli go, jak krążył zupełnie blisko.
Nikt nie spadł z drzewa - ani samice, ani małe.

Ale gdy wielkie światło powstało z ziemi, najpierw zupełnie mały punkt lśniący na skraju liści równocześnie z wszelkim ćwierkaniem i jazgotem wydobywającym się z wielu kościanych ust, oni zauważyli, że jeden samiec pozostał na ziemi. Że pozostał tam, bez żadnego dźwięku, bez jednego krzyku. Jego zmięta twarz przypominała skórę drzewa, które już nie ma liści. To był jeden z tych w hordzie, co chodzą powoli.

Oni zabrali go, gdy zeszli z drzew i zagłębili się w cień pod gałęziami, żeby przebyć zalesioną przestrzeń. Oni wiedzieli, tak jak i ona, że nieczęsto spotyka się za dnia tego-z-zębami-co-uderzają pod gęsto rosnącymi drzewami. Raczej na przeredzonych poła-ciach, tam bowiem on widzi najdalej i ma najwięcej szans zaspokoić swój głód.

Miała czas na jedzenie. Pod drzewami potrafiła ich nie zgubić. Słyszała, jak się poruszają, mimo że znajdowała się w odległości większej niż zasięg woni. Nawet gdyby nie spędziła wiele czasu ze swojego istnienia w gałęziach, nie czułaby się tam źle. Nie obawiała-by się przeskakiwać czasami z jednej gałęzi na drugą i w ten sposób zmieniać drzewa, żeby posuwać się nie dotykając stopą ziemi. Nie widziała, żeby oni kiedykolwiek tak robili.

Gdy ich już nie słyszała, przestawała żuć. Nasłuchiwała. Były wszelkie odgłosy wszystkich tych żyjących pośród drzew i liści i odgłos liści poruszanych oddechem niewidzialnego.

Ruszyła w stronę, gdzie oni zniknęli.

79

A potem, bardzo szybko, doleciał do niej zapach tego-z-zęba-mi-co-uderzają. Poczwała, że lodowacieje. Ale to był tylko jego zapach. Przeszedł tamtędy, pod spodem, podczas nocy. Jego zapach tkwił w mchach, uczepony długich liści zamiatających ziemię...

Strach, że ich zgubiła, ścisnął jej gardło. Pnie drzew i najgrubsze gałęzie były wystarczająco blisko siebie, by mogła z łatwością przechodzić z jednego na drugie. I tak robiła. Przerzucała ciało, huśtała się, czepiała się jakiejś gałęzi, żeby ją puścić prawie natychmiast i prześlizgnąć się na następną. Nie czyniła hałasu, z wyjątkiem bardzo lekkiego odgłosu pocierania, gdy jej dłonie dotykały kory.

Tym sposobem w jednej chwili przebyła odległość... do tego--ze-zwiędłą-twarzą, który samotnie spędził noc u podnóża drzewa. Zaskoczył ją widok „innego” siedzącego tam, na ziemi, w wąskiej przestrzeni wolnej od pni. Omal nie spadła, ale opanowała się błyskawicznie i tak zastygła, zwisając na ramionach z gałęzi, z dyndającymi nogami, z westchnieniem osłupienia wydobywającym się z jej brzucha. Tam pod nią był „inny”.

Siedział w wielkich postrzępionych liściach, w chmarze małych latających i bzyjących stworzeń. Nie było niczego nadzwyczajnego, co mogłaby wyczytać z jego zmęczonych oczu - niewątpliwie z wyjątkiem takiego samego zdumienia jak to, które wyrażało jej spojrzenie: zdumienie na jej widok, tak nagle wyłonionej, zawieszonoj i huśtającej się na gałęzi, a potem znieruchomiątej i osłupiałej.

Prześlizgnęła się do pnia swojego drzewa, zsunęła się na dolną gałąź i usadowiła na niej okraciem. Nie odrywała oczu od te-go-z-pofałdowaną-twarzą. Praktycznie nie miał już sierści na głowie ani na barkach, a ta, która jeszcze pokrywała skąpo jego członki, nie miała barwy. Spoglądał na nią.

Przez jej oczy przesuwaly się obrazy. Takie obrazy, które chyba nigdy realnie nie istniały, ale ona je widziała. Przez długi czas nie przestawała wyciągać i wyciągać ich z siebie samej, i obracać... Jak ten-co-chodzi-powoli z jej hordy, z jej dawnej hordy. Oni niewąt-plitwie zostawili go za sobą, a ona sama nie uważała za użyteczne do niego dołączyć. Niczego nie widząc, wiedziała, że obrazy nie były fałszywe, gdy pokazywały tego-co-chodzi-powoli poszarpa-nego przez pożeraczy.

A „inni” z tej wielkiej i silnej hordy zostawili za sobą tego tutaj, z twarzą tak całkiem zmiętą jak twarz tego-co-chodzi-powoli. Ani

80

też nie zauważyli, że ten tutaj nie był zdolny do wdrapywania się, dla własnej ochrony, poprzedniej nocy.

Nawet jeśli miał twarz zużytą, oczy zasze pustką, ten tutaj był jeszcze całkowicie zdolny do wążania. On pierwszy wyczuł unoszący się zapach. Ze swej strony i ona rozumiała, że zbliżał się. Jej pierwszym odruchem było wspiąć się wyżej na drzewo. W tej samej chwili zobaczyła to dziwne światło, prawie zgaszone i natychmiast ponownie zapalone w oczach tego-tutaj-z-zużytą-twarzą. Nie tylko nie wdrapała się wyżej, ale zesła jeszcze niżej.

Dwoma skokami wyprysnęła z gałęzi do pnia, następnie z pnia na ziemię. Wylądowała zwinnie w wysokich postrzępionych liściach, zaledwie o kilka kroków od niego.

Zrobił lekki, ale wyraźny ruch wstecz. Doznała dziwnego uczucia, jak wtedy gdy miała małe i umiała zmusić je, żeby pozostały przy niej. Szła w jego kierunku. Wyciągnęła do niego rękę.

Nie zrobił niczego. Nie odpędzał bzykania małych rzeczy koło pobrużdżonej twarzy. Patrzył na nią.

Dotknęła go. Miał twardą skórę, pofałdowaną, nieco chłodną - wzdrygnął się przy zetknięciu z palcami położonymi na jego kościstym barku, znowu zrobił ruch wstecz. Wydała lekkie za-chęcające mruknięcie, próbując nadać twarzy przyjemny wygląd. Bez agresywności pod maską strachu czuła, że strach kurczy jej rysy.

Nie reagował. No więc chwyciła go sztywno za ramię, podniosła go. Był bardzo lekki, jednak większy od niej.

Stojąc oparł się o pień drzewa, ale ona zrobiła znak, żeby się pospieszył, pokazując mu powyżej. Wówczas ten-z-zębami-co-ude-rzają przedzierał się przez pobliskie wysokie liście.

Krzyknęła. Puściła ramię „innego”, którego dotykała, tego-z--pofałdowaną-twarzą. Możliwe, że oparła się o niego trochę za mocno, żeby rzucić się do gałęzi, schwycić ją i wdrapać się na rozwidlenie.

Ten, którego dotykała, nie zwracał na nią więcej uwagi. Przywarł do pnia, obie guzowate ręce położył na pniu, każdą po jednej stronie. Wyglądał prawie jak inny pień, przyklejony do tego pierwszego.

Krzyczała, żeby spróbował wdrapać się, wyciągała do niego rękę. Nie patrzył.

Wołała, wydawała chrapliwe krzyki, żeby zwrócić jego uwagę. Nie patrzył. Patrzył na pożeracza, który pojawił się przed nim niemal na wyciągnięcie łapy.

81

Patrzyła na pożeracza, ona także, i przestała wrzeszczeć. A gdy ona się uciszyła, pożeracz-z-zębami-co-uderzają podniósł na nią wzrok, oczy miał zarazem takie jak woda i kamień. Otworzył paszczę. Pod wielkimi zewnętrznymi zębami były inne, poła-mane. Na pewno miał w sobie tyle wspomnień i obrazów, ile ten z hordy, oparty o drzewo. Sierść na jego szyi była miejscami powyrywana.

Wiedziała, że on nie boi się niczego. To była po prostu kwestia czasu i apetytu. Podobnie jak ten, którego dotknęła, był zbyt słaby i zbyt obciążony wieloma wspomnieniami, żeby się wdrapywać.

Wyprostowała się na swojej gałęzi, wspięła się na tę powyżej.

Uderzył jeden raz. Najpierw krótko warknął. Ona nie chciała tego widzieć. Miała już obrazy. W taki sam sposób, albo prawie taki, ten-z-jednym-ramieniem został rozszarpany. Ona zachowała obra-zy i nie chciała widzieć. Lecz nagle zerwały się krzyki. Wszędzie, dookoła, jakby wydawane ze wszystkich stron, wydobywały się nawet z pni drzew, z każdego liścia, spoza każdego źdźbła trawy.

Wyłonił się „inni”, wrzeszcząc, wyjąc, ciskając kamieniami. Zaskoczyli tego-z-zębami-co-uderzają. On ich nie słyszał ani ich nie poczuł. Ona tym bardziej nie (czyżby miała równie długie wspo-mnienia jak ten-z-zębami-co-uderzają?...).

Rzucali kamieniami, krzyczeli, podskakiwali, krążyli wokół pożeracza. Ten, którego ona dotknęła, upadł pod drzewem. Jego tors nie poruszał się już, rozorany wielką otwartą raną podchodzącą aż do szyi. Wzrok miał skierowany w górę. Przez chwilę pomyślała, że on ją widział i że to go uspokoiło.

Kamienie były ciężkie, ostre. Większość z nich trafiała pożeracza z taką siłą, że aż odskakiwały. Przez jakiś czas robił grymas, że będzie bronił swojego łupu, głośno warczał, skakał tu i tam, darł trawę pazurami, potrząsał głową i uderzał powietrze, z góry na dół, szczerząc wszystkie zęby. Lecz kamieni było zbyt wiele. Za każdym razem, gdy jeden z nich trafiał go w pysk, wstrząsał energicznie głową wydając przy tym zdławiony krzyk bólu.

I nagle skoczył ku „innym”. Ale to nie był atak, to była ucieczka.

Sypnęli się za nim, ciągle wyjąc...

Wielu pozostało na miejscu. Zbierali kamienie, które przedtem miotali, oblizywali je, jeśli nosiły ślady krwi. Cały czas walili w ziemię z wściekłością. Wydawali warknięcia, żeby pokazać swoją

się i zadowolenie. Oni pokonali tego-z-zębami-co-uderzają, i to nie pierwszy raz.

Jeden z nich spojrzął do góry, na nią na drzewie. Zrobił szybki przyjemny wyraz wielkimi ustami, wydał cichy krzyk. Uniósł ramię, poruszył nim i skinął na nią, żeby zeszła, ale to właśnie spowodowało, że strach znowu do niej powrócił.

Wdrapała się wyżej na drzewo, najszybciej jak tylko można, czekała, aż on ciśnie tym kamieniem, który podniósł i oblizał, żeby ją trafić i zmusić do zejścia.

Ale nie.

Oni odeszli.

Z

ACZĘŁA drzeć i musiała poczekać chwilę, zanim odważyła się wykonać ruchy, żeby zejść do podnóża drzewa. A kiedy się na to odważyła, wciąż jeszcze drżała, ale nie tak mocno.

Twarz tego, którego uderzył pożeracz, przypominała całkiem zwiędły liść, oderwany od gałęzi. Tak jak ten liść, upadł na ziemię. Leżał w poprzek, na wpół oparty o pień, jak gdyby opierał się jednym ramieniem, drugie ramię zgiął za sobą, pomiędzy tułowiem i drzewem, pod dziwnym i niezwykłym kątem. Bark wysunął się do przodu. Wypłynęło z niego wiele krwi, plamiąc trawę i mech porastający wystające korzenie drzewa. Unosił się teraz nad nim odór nieruchomego mięsa, który niezwłocznie przyciągnie inne rodzaje pożeraczy, a głównie tych-których-krzyk-jest-jak-wiele--krzyków. Ale nie tylko tych - wszystkie rodzaje pożeraczy. Była to zarazem woń świeżej i lepkiej krwi, woń zagadkowych ciał wewnątrz tułowia, a także płynów i szlamowatej materii, jaka wydostała się z niego wraz z gasnącym życiem.

Ona tam pozostała. Jakby wciąż jeszcze coś nie pozwalało jej oddalić się zbyt szybko. Jakby coś, jakaś siła wzbraniała jej odwrócić już wzrok od zbryzganej twarzy tego, którego zabił pożeracz z połamanymi zębami.

Było tak, jakby czekała na coś nowego, co miało zaraz nastąpić tylko dla niej.

No więc czekała, cały czas doznając dziwnego uczucia, że przeżyła gwałtowny wstrząs. Spoglądała na tego, którego dotknęła, którego usiłowała nakłonić, żeby wdrapał się na gałęzie przed przybyciem pożeracza. Widząc go teraz, tam, rozumiało się jego niezdolność do wspinaczki po gałęziach, nawet niskich i łatwych, gdy nie był jeszcze rozszarpany i nieruchomy. Jak ona mogła myśleć, że on jest do tego zdolny? To był samiec o bardzo przygniatających wspomnieniach, ten z hordy „innych”. Na długo przed nią wyszedł

z brzucha jakiejś samicy, a potem... Chodził i jadł jak wszyscy i wszystkie z hordy, a potem...

Czy ona potrafiła coś więcej, oprócz tego zasadniczego?

Czekała, aż wydarzy się to, co musi się wydarzyć, przeznaczone tylko dla niej.

W pewnej chwili usta „innego” zaczęły otwierać się powoli, sprawiając wrażenie, że to nigdy się nie skończy... Ale to się skończyło i on pozostał tak, z szeroko otwartymi ustami, z głową lekko pochyloną na bok.

To było wszystko. Nie wydarzyło się nic innego.

Między nim a nią stało się coś zupełnie wyjątkowego. On jej pozwolił zbliżyć się do siebie, dotknąć go, ale pożeracz zjawił się akurat w tej chwili, gdy już mógł dokonać tego dodatkowego wysiłku, żeby...

Zachowała obraz jego głowy przechylającej się, jego otwierają-cych się ust, jakby chciał dla niej wydać ostatni dźwięk, gdy tymczasem w rozszarpanej i zalakowanej krwią piersi to coś prze-stało uderzać.

Nic innego.

Mogła odejść, od tej chwili. Drżenie kończyn ustąpiło. Rozwiał się dziwne uczucie, że coś nią wstrząsa i uderza, podobnie jak kurz, wzbijający się i opadający. Wrażenie, przez moment dzielone z tym tutaj, zawierało szczególne znaczenie i całkowicie nowe, jak gdyby ten niewidzialny połknął swój oddech, jak wówczas gdy wokół nieruchomieją liście.

A to był tylko stary samiec, który przestał chodzić.

Zrozumiała, że nie trzeba pozostawać tam dłużej, że doznane uczucie wyjątkowości i wagi działało jak zasadzka tych kwiatów wypełnionych wodą. Wpadają w nie małe bzykające stworzenia.

Zostawiła go.

Podczas gdy maszerowała po ziemi, pośród wielkich traw szerszych niż dłoń, jej gardło stało się twarde i ściśnięte. Śpieszyła się, w zapachu „innych”, bo liście i pnie zasłaniały ich przed nią. Z oddali dolatywały entuzjastyczne krzyki. Wciąż je wydawali, żeby oznajmić tym, którzy ich słuchali, o zwycięstwie nad tym-z-zęba-mi-co-uderzają. Albo, równie dobrze, mogły to być krzyki wściekło-ści i żalu, gdyż jeden z nich był martwy. Oni zdołali uniknąć pożeracza i odpędzić go, jednakże nie zdołali go zabić. Oni go nie zjedli. Krzyki opowiadały to wszystko.

Ponieważ ona przeżyła tę przygodę, rozumiała to, co wykrzyki-wali drzewom, powyżej i wokół siebie.

Krzyki nie opowiadały o jej obecności.

Posuwała się gniotąc przy każdym kroku trawy, które kładły się tuż za nią. Zapomniała ponownie wspiąć się na gałęzie, nie sądziła, by ten-z-zębami-co-uderzają mógł powrócić, zanim upłynie duża chwila. Inne środki ostrożności wyleciały jej z głowy.

Obrazy nie były obrazami tego, którego zabił pożeracz.

Gardło sprawiało jej ból, aż do brzucha. To nie był prawdziwy ból. To nie było całkiem nieprzyjemne.

A potem nie mogła już dłużej wytrzymać, po twarzy popłynęła jej woda z oczu.

Już raz płynęła jej woda z oczu. Kiedy inny z-zębami-co-uderzają zabił tego-z-jednym-ramieniem. I potem ten raz, teraz.

A jednak, w tej chwili, obrazy nie przedstawiały tego-z-jednym-ramieniem ani tego-z-pogniecioną-twarzą, którego dotknęła, zanim zabił go pożeracz. Obrazy pokazywały tego, co przyszedł pod gałąź, na której siedziała, tego, co skierował do niej znak, żeby zeszała.

Podczas gdy maszerowała, wielkimi krokami, przed oczami były obrazy właśnie jego. Jego oczy jak wzburzona woda, którą ona wycierała wierzchem dłoni, razem jednej, raz drugiej.

Z tym obrazem „innego”, stojącego pod drzewem, unoszącego do niej głowę, patrzącego na nią w przyjemny sposób, szła długo, długo.

Była z tyłu za nimi, gdy opuścili liczne gęsto rosnące drzewa, była bowiem przed nimi, gdy pod nie wchodzili. Ale porzuciła już prawdziwą ostrożność, żeby się ukrywać przed nimi. Jeżeli usiłowała trzymać się możliwie jak najbardziej pod oddechem niewidzialnego, niosącym przemieszane zapachy hordy, to nie dlatego, żeby ukryć swój własny zapach.

Często zapomniała zbierać, ledwie trochę grzebała w ziemi. Wołała wyczekiwać i patrzeć na nich, ani naprawdę z daleka, ani naprawdę z bliska. Z takiej odległości, jaką przyzwyczała się utrzymywać pomiędzy sobą a nimi. Taka odległość pozwalała jej stale trzymać się w ich woni, nieomal w ich ciepłe.

Przysiadła na piętach, oparła ramiona na uniesionych kolanach. Trwała tak patrząc na nich, podczas gdy jej zwieszona i puste dłonie zapomniały zbierać, podczas gdy jej brzuch trochę burczał, jakkol-wiek coraz mniej głośno. To było to, co ona wołała robić. Oczywiście-

88

cie, od czasu do czasu ruszała się nieco, zmieniała pozycję, w zależności od ich poruszeń.

A potem chrupała, zrywała w roztargnieniu kilka liści, słamazar-

nie drapała ziemię, żeby wydobyć jakiś korzeń. Albo zadowalała się

połykaniem małych, ciężkich i ciepłych ziaren zwisających z końców wielkich traw. Spędzała mnóstwo czasu na przeżuwananiu ich, tak że czasami można by się zastanawiać, czy zdecyduje się je połknąć.

A gdy się już całkiem rozpuściły, robiła okropny grymas, jakby zmuszała się do jakiegoś bardzo nieprzyjemnego obowiązku. Nie mogłaby zrobić gorszego grymasu, gdyby nawet zdecydowała się ugryźć mięso, tak jak „inni” albo ci-których-krzyk-jest-jak-wie-le-krzyków. -

Czasami zbliżały się do niej małe, biegające bez opieki, bliżej niż na kilka skoków. Nieruchomiąły i patrzyły na nią, a ona patrzała na nie, zmuszając się do zrobienia przyjemnej twarzy. Jej wzrok wyrażał coś w rodzaju owego pragnienia, jakie żywiła, aby je przycisnąć do siebie, ale oczywiście one nigdy nie zdołałyby tego zrozumieć. ^

Spoglądały na nią bez jednego gestu, bez jednego dźwięku, ona zaś prezentowała im to, co było - miała taką nadzieję - przyjemnym wyrazem twarzy. Tak trwali aż do chwili, gdy od strony hordy zaczął przywoływać je krótki krzyk wydawany przez jakąś samicę machającą ramionami.

W każdym razie oni nie obawiali się jej, ani zupełnie małe, ani „inni” posiadający więcej czy mniej wspomnień w sobie, ponieważ prawie nie szaleli, gdy małe zbliżały się do niej.

Zastanawiała się, czy oni wiedzieli. Próbując znaleźć odpowiedź, przesuwała w głowie obrazy. Koniecznie trzeba było przesuwać je w pewien sposób, czy też potrzebne były inne obrazy. Ale ona nigdy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wciąż szukała. Niektóre obrazy, jakie posiadała, upewniały ją, że aby wynurzyć się w ten sposób, w jaki napadli na pożeracza i zaczęli go kamienować, musieli tam już być od pewnego czasu, co najmniej kilka chwil. Jeżeli tam byli, gotowi do ciskania kamieni, widzieli zatem tę próbę, którą zrobiła, żeby wepchnąć na drzewo tego, którego uderzył pożeracz. No więc oni mogli zrozumieć, że ona nie chciała dla nich źle. Że ona była, w pewien sposób, poprzez tamten gest, jedną z nich.

A to, co on zrobił, tamten — przynajmniej jeden z nich — czy nie było sposobem pokazania, że on to rozumiał?

89

Czasami myślała, że ten obraz, jaki bez przerwy wydobywała z siebie, był obrazem bez rzeczywistości. Bała się, że nie będzie dłużej umiała. Przez długie chwile pozostawała w osłupieniu, z całej siły mrugając powiekami. Była wówczas prawie pewna, że ten „inny” nigdy nie przyszedł pod drzewo tylko po to, żeby

na nią popatrzeć, że nigdy nie zrobił tego gestu w jej kierunku.

Z całych sił czekała na inne obrazy.

Pewnego razu noc wstała z ziemi i rozpostarła się. Jednak ona nie poczuła żadnego chłodu, przeciwnie. Począwszy od owej chwili rozpoczynającej noc czuła gorąco. Jej dłonie drżały, zęby szczękały. Jednocześnie czuła gorąco i trzęsły nią dreszcze.

Straciła ochotę do jedzenia, nawet jeśli burczało jej w brzuchu, nawet jeśli czasami to bolało.

Cały swój czas poświęcała na czekanie, na obserwowanie ich. Chciała rozpoznać jego, ale nie udawało jej się. On musiał być pośród tych, którzy najaktywniej łamali gałęzie, ciskali kamienia-mi... parzyli się z samcami. Gdyby jednak horda kiedykolwiek zdecydowała się zainteresować nią, on byłby, właśnie ten, pośród idących na końcu, przyjmując, że pewnego dnia będzie wystarczająco dużo ciekawości w stosunku do niej.

Sprawiało jej ból, gdy przypominała sobie gest, jaki on zrobił w jej stronę. A gdyby ona zeszła z drzewa?

Przybyło dni i nocy w obrazach jej wspomnień. Przymierzała i przepatrywała za sobą wszystko to, co było jej drogą na wielkim terytorium, aż do przybycia „innych”. Tyle rzeczy... Tyle, ile małych-czarnych-i-gryzących-stworzeń śpieszących się do swoich własnych celów, których nie można poznać - można tylko je widzieć, jak się śpieszą.

Bardzo lubiła spoglądać za siebie. Widziała swoją drogę poprzez wielkie terytorium.

Tyle rzeczy, tyle małych-czarnych-gryzących-stworzeń zawsze przepychających się i śpieszących - tyle, a jednocześnie tak mało.

Tak jakby prawie nic. Jak woda rzeki omywająca kamienie na brzegu. Prawie nic.

Wolała niektóre obrazy od innych. Gdy nie czuła głodu. Gdy nie czuła bólu. Gdy była senna i mogła spać przytulona do brzucha tego-z-jednym-ramieniem. Gdy on był taki ciepły, przy niej. Gdy

92

jej mały nie sypiał za dużo i mógł się stać tym-co-nie-ma-koloru~ -do-patrzenia.

Gdy dotknęła tego, którego uderzył pozeracz.

Gdy ten „inny” patrzył w jej kierunku i robił do niej gest, ręką trzymającą kamień.

Nie zapominała, że znała różne rzeczy. Być może tylko ona jedna i to ją napawało trochę strachem. Wolałaby podzielić się z kimś, żeby się poczuć bezpieczniej.

Wiedziała, że we wszystkich „innych” - i w tych co mają cztery łapy także, i w tych co nie mają ani jednej, i w tych co mają wielkie lekkie ramiona, i w tych co ślizgają się w wodzie, we wszystkich, nie tylko w tych

co chodzą wyprostowani - jest ten kawałek wewnątrz, który uderza, gdy oni żyją, i nie uderza już więcej, gdy oni przestają się ruszać przez długi czas.

Umiała słuchać w pewien szczególny sposób oddechu niewidzialnego w trawach, tak żeby to było miłe, tak jak umiała słuchać w pewien szczególny sposób cichego szmeru wody, tak żeby to było miłe i sprawiało coś w rodzaju przyjemności, jak wtedy, gdy się usypia - ale bez usypiania. ,

Wiedziała, że wszystko to, co ona wie, nie ma tego samego znaczenia i że istnieją rzeczy, które wydarzyły się, ale nigdy się nie powtórzą.

Była przekonana, że mogłaby nigdy nie skończyć uderzać zawsze wewnątrz siebie, gdyby tylko potrafiła ustrzec się wszystkich pożeraczy.

Obecnie dawna horda nie istniała już więcej. Nie stanowiła dla niej niczego więcej jak tylko obrazy, które zachowała. A te obrazy rozpraszały się lub ożywiały w zależności od życzenia.

Pozostało jedynie wspomnienie, z wolna coraz cięższe. A ona posuwała się ku obrazom jeszcze nie narodzonym, tym, które były jej przeznaczone, podczas jej drogi przez wielkie terytorium. Przemierzała rozległe wspomnienia i za każdym nowym krokiem chrupała z nich mały dodatkowy kawałek.

„Inni” nigdy nie próbowali jej odpędzać - ani razu. Tylko oni istnieli na ziemi. Czuła się uspokojona i wypoczęta, gdy wydawało jej się, że dostrzega i rozpoznaje tego, który skierował do niej znak.

Była przekonana, że rozpoznaje jego sylwetkę.

Czy mogła zrobić coś innego, jak iść w ślad za nimi? To się stało silniejsze od niej. To się stało jej jedyną możliwą trasą na terytorium

93

- aż przestrzenie -ponad pokryły się w końcu mgłami, gęstymi,

mrocznymi, a oddech potwornego niewidzialnego, niewątpliwie

dużo wyższego niż cztery-łapy-z-nosem-co-dotyka-nieba, chłodny

oddech zaczął dmuchać.

Z nieba spadła woda.

To nie był dobry wypoczynek pod korzeniami wielkiego drzewa. Woda ściekała po niej prawie tak, jak gdyby stała wyprostowana o kilka kroków stąd. Wybiła się ze snu, ale jeszcze była odrętwiała.

Wstrząsnął nią silny lodowaty dreszcz, gdy spostrzegła, że ich zapach zniknął. Zobaczyła ich, ale za późno - przeszli rzekę.

Woda z nieba spadała tak mocno i gwałtownie, że nie minęło tyle czasu, ile potrzebuje wielkie światło, żeby przebyć połowę swojej drogi, a rzeka już stała się rzeką błota. „Inni” przeszli, zanim błoto

- gęsta woda i rozmiękła ziemia - wezbrało i stało się nie do przebycia.

Ta ziemia, wściekła i warcząca, wznosiła się teraz pomiędzy „innymi” a nią.

Było jej zimno, była bardzo głodna. Jednak obfity deszcz pustoszył tutaj jadalne liście tych pożytecznych drzew. Ale od dawna nie próbowała nawet ich zbierać.

Zbliżyła się do brzegu. Tam, po drugiej stronie, on tam był, on także, całkiem mały, ponieważ całkiem sam. „Inni” oddalili się, a on poruszał ramionami, tak jak robił już jeden raz. On poruszał ramionami, pokazywał pnie, wyrwane i leżące w wodzie, częściowo zanurzone, częściowo na wierzchu. To tam, tamtędy przeszli.

Ona to właśnie zobaczyła jak poruszał ramionami. Zachęcał żeby przyszła, żeby szła do nich i z nimi, żeby była wśród nich, w ich ciepłe, w ich hordzie.

Już jej nie było zimno, gdy wchodziła do wyjącej wody, żeby dołączyć do „innych”. W ogłuszającym hałasie fal nawet nie było słychać trzaśnięcia gałęzi martwego pnia i nie było słychać jej w ogóle, jak krzyczała. Jeżeli w ogóle krzyczała...

W

SPOMNIENIA stłoczone są w pamięci tych, którzy nazywają siebie „ludźmi”, są stłoczone ciasno, gęsto, tak gęsto jak trzy miliony lat. Aż do momentu odkrycia części szkieletu oraz gałęzi drzewa w utopionym cieple.

Żyła bez imienia, o wiele dawniej niż imię ludzi. Jedna z tych, którzy już chodzili wyprostowani. Zjadała trawy, ziarna, owoce i słodkie korzenie. Zmarła tonąc w afrykańskiej rzece.

Oto co można opowiedzieć o niej dzisiaj, trochę na podstawie obrazów i wspomnień, jakie były jej przeznaczone tak długo (i zarazem tak krótko) po niej. Tak długo dla niej, która miała zapewne zaledwie dwadzieścia lat.

95

PUNKTY ORIENTACYJNE

Wszechświat

Przed 15-25 miliardami lat nasz Wszechświat nie istniał. Nie było ani gwiazd, ani planet, nie istniała

żadna materia, nawet próżnia nie istniała. Nic. W tej nicości rozległa się gigantyczna eksplozja, Big-Bang.

Właśnie tak narodził się nasz Wszechświat. Był tylko gorącym, 1000 miliardów (bilion) stopni. Rozpoczął ekspansję jako fantastyczna fala uderzeniowa.

W gorących mgławicach, z wolna stygnących, materia zaczyna się organizować w bardzo proste atomy: wodór, hel... Te atomy zaczną tworzyć obłoki, które - zagęszczając się - będą się rozgrzewać. Rozbłyśkują pierwsze gwiazdy. Są ich miliardy miliardów, zgrupowanych w układach noszących nazwę galaktyk.

Ziemia

Cztery i pół miliarda lat temu, w pobliżu dopiero co narodzonej gwiazdy, później nazwanej przez ludzi Słońcem, formuje się 9 planet, uwięzionych przyciąganiem tej gwiazdy.

Jedną z nich jest Ziemia. Płynna masa. Bardzo prawdopodobne, że jej powierzchnia była początkowo również płynna. Najstarsze znane skały liczą zaledwie 3,8 miliarda lat.

Życie

Na Ziemi 3,5 miliarda lat temu pojawia się bardzo szczególna materia wyposażona w zdolność do rozmnażania się; życie łączy pierwsze komórki. Owo życie długo jednak pozostanie bardzo prymitywne. Glony i bakterie będą jego jedynymi przedstawicielami przez nieomal 3 miliardy lat. W toku ewolucji będą się pojawiały i znikły różne formy życia. W ten sposób na przykład, panując przez około 120-140 milionów lat (od 205 do 65 milionów lat temu), dinozaury całkowicie zdominują świat.

Ziemia wciąż porusza się, ogromne płyty rozsuwają się tak jak tratwy na płynnej magmie. Ich zderzenia powodują wypiętrzanie łańcuchów górskich, podział kontynentów.

98

Człowiek x

W ogólnej klasyfikacji istot żywych człowiek usytuowany jest w świecie zwierzęcym wśród kręgowców (których pochodzenie sięga około 500 milionów lat); człowiek należy do gromady ssaków (ich pojawienie szacuje się na 200 milionów lat temu); wśród tych ostatnich należy on do rzędu naczelnych.

Naczelne pojawiły się przed około 70 milionami lat.

Następnie wyłoniła się rodzina hominoidów, nie wcześniej niż 35 milionów lat temu, a potem hominidów, przed 8 milionami lat; i wreszcie Człowiek (Homo), około 3 milionów lat temu.

W superrodzinie hominoidów są klasyfikowane pierwsze zmienione naczelne z mózgiem bardziej rozwiniętym - egiptopiteki. Ich bezpośredni potomkowie - prokonsule z Kenii i Ugandy - rozprzestrzenili się w Europie i Azji pod nazwą driopiteków. Zmiany klimatyczne zmusiły je do częstszego przebywania na ziemi niż na drzewach; stały się ramapitekami. Ich krewni

- keniapiteki - dadzą początek wielkim małpom lasu tropikalnego (goryl i szympan, z którymi dzielimy 99% dziedzictwa genetycznego), australopitek i ludziom.

Australopiteki chodziły wyprostowane. Dłonie ich przednich kończyn przestały być całkowicie zajęte lokomocją, stały się dyspozycyjne w sposób ciągły. W tym samym czasie w ich mózgu zachodziły zmiany ilościowe i jakościowe. Wyprostowane, lecz nie na tyle co ludzie, australopiteki mają czaszkę jeszcze niewielką; uzębienie pozwala im na skuteczne żucie. Ich tylne kończyny są krótkie i zachowują zdolność do wspinania się na drzewa.

Australopiteki mierzą od 1,25 do 1,50 metra, ważą od 25 do 50 kilogramów. Ostatnie z tej linii żyły w tym samym czasie co pierwsi ludzie

- Homo habilis - jacy pojawili się przed 3 milionami lat.

Z faktu ich koegzystencji, trwającej kilkaset tysięcy lat, wynika, że prowadzili niekonkurencyjny tryb życia i zamieszkiwali oddzielne terytoria.

Australopiteki były roślinożerne, ludzie mają żuchwę wszystkożernych. Narzędzia ludzi są bardziej wyspecjalizowane, wytwarzają którzy je bardziej systematycznie. Mózg człowieka osiąga wówczas 700 do 800 centymetrów sześciennych, podczas gdy mózg australopiteka nie przekracza 500 do 600 centymetrów sześciennych (natomiast mózg egiptopiteka ma objętość zaledwie 30 centymetrów sześciennych - 30 milionów lat wcześniej).

Homo habilis dał początek Homo erectus, następnie od tego ostatniego wywodzi się Homo sapiens.

Człowiek rozumny... czy mądry?

99

HISTORIA

PIERWSZEJ MIŁOŚCI NA ŚWIECIE

Dzieje tej miłości, dyskretnej i intensywnej, to być może pierwsza historia miłosna na świecie. Działo się to przed trzema milionami lat, gdzieś w Afryce wschodniej, w kapitalnej epoce, w której pojawili się pierwsi ludzie, podczas gdy jeszcze nie zniknęli ostatni praludzie. W tej epoce, zarówno u jednych jak i u drugich, chociaż w różnym stopniu, wzrastała świadomość, rozwijały się uczucia. Dwieście tysięcy pokoleń dzieli nas od tamtych istot, prawdopodobnie około stu miliardów ludzi narodziło się od tamtej pory. Jednakże, jeśli nawet rozwój mózgu doprowadził nas do nadzwyczajnego stopnia poznania i wolności, świadomości, ciekawości, refleksji, emocji, uczuć i pasji - to właściwości te są dzisiaj tej samej natury co w owej wzruszającej chwili (geologicznej) jawiącej się przed naszymi oczami.

Żeby umiejscowić tę historię i powody, dla których była możliwa - nie była możliwa kilka geologicznych chwil wcześniej - musimy oczywiście cofnąć się, bardzo się cofnąć. Na przykład dobrze będzie przypomnieć sobie, że wszystkie żywe istoty, jakie istnieją bądź istniały, należą do tego samego drzewa genealogicznego; że warunki niezbędne do powstania życia z materii zaistniały w istocie tylko jeden raz. Począwszy od tego momentu życie rozwijało się adaptując się do nowych otaczających warunków w miarę zmian zachodzących w otoczeniu; to tłumaczy niewiarygodną różnorodność form rozwijających się organizmów. Historia naturalna, podobnie jak to, co zwykło się nazywać po prostu historią, jest w rzeczywistości - tak to

IOI

nazwijmy - wydarzeniowa; jeśli dane wydarzenie nie następuje, środowisko nie ulega zmianie, zasiedlające je stworzenia nie mają powodu do zmieniania się, ponieważ nie mają do czego się przystosowywać, nie ma niczego nowego. Natomiast w przeciwnym wypadku wszystko rzecz jasna przekształca się, żeby uzyskać nową równowagę naturalną. Trzy do czterech miliardów lat temu rozpoczęły się dzieje życia, przed nie mniej nadzwyczajną pierwszą historią miłosną, właśnie tą, którą przed chwilą czytaliśmy i przeżywaliliśmy.

Najpierw była długa epoka istot zaledwie jednokomórkowych. Następnie, z wolna, dopiero dwa miliardy lat później, królestwo zwierząt i królestwo roślin rozdzieliły się; u bezkręgowców przed 500 milionami lat pojawia się kręgosłup; przed 400 milionami lat kręgowce mają już płuca; przed 100 milionami lat u ssaków występuje łożysko, nieustannie ulepszają się warunki życia i rozwoju. Przed 70 milionami lat pojawiły się pierwsze małe małpy. Prowadziły życie nadrzewne, zapoczątkowały upodobanie do owoców - w chwili, gdy w drugim królestwie rozwijały się rośliny kwiatowe. 40 milionów lat temu nadeszła pora wielkich małp, zademonstrowały światu swoje mózgowie, lepiej zorganizowane, lecz wciąż małe. Następnie, przed ośmioma milionami lat, pojawiła się nasza rodzina, wraz z pierwszymi praludźmi; jedną z nich, jedną z ostatnich istot praludzkich była Lucy, fascynująca bohaterka niniejszej opowieści.

Ponieważ nasza rodzina pojawiła się nagle, wobec tego jakie wydarzenie zaszło przed ośmioma milionami lat, wywołując tę niezbędną transformację? Otóż było takie wydarzenie.

Afryka dosłownie pękła. Rift Valley przeciął ją z południa na północ, dzieląc na Afrykę po zachodniej stronie rozpadliny - pozostała ona tym czym była, lub prawie, oraz na Afrykę po wschodniej stronie rozpadliny, wznoszącą się pod osłoną ściany, jaką stanowi zachodni brzeg rozpadliny; o tej Afryce właśnie mowa. Afryka na zachód od rozpadliny pozostała nawodniona i zadrzewiona. Afryka na wschód od niej przestała otrzymywać regularnie opady, dlatego wylesiała się.

Tak przedstawiał się stan rzeczy, gdy wielkie małpy, potencjalni przodkowie szympanów i ludzi, żyły dokładnie w tym regionie świata - ponieważ zmienne koleje dziejów istot żywych tak zadecy-

do wały. Te wielkie małpy oczekiwała oczywiście różna przyszłość, w następstwie ich usytuowania w stosunku do słynnej rozpadliny. Jednym, tym na zachód od niej, wypadło żyć w lesie i na za-drzewionej sawannie, którą przemierzali ich przodkowie. Inne, te na wschodzie - przeciwnie - znalazły się ku swemu zdumieniu w pej-zażu, o jakim wcześniej nie miały najmniejszego wyobrażenia, na pustej sawannie i prerii.

Nas interesują te ostatnie, gdyż bardzo prawdopodobnie to one są pierwszymi reprezentantami naszej rodziny, wybranymi poprzez wspomniane wydarzenie tektoniczne, które przerodziło się w wyda-rzenie klimatyczne, a następnie ekologiczne. Ich adaptacja do tej zmiany środowiska dotyczyła postawy i sposobu poruszania się, diety i uzębienia, mózgu i jego rozwoju. Wyprostowują się, ale być może pozostają nieco zgarbieni. Będą chodzić na tylnych koń-czynach, krokiem krótkim i rozkołysanym, poza tym przestaną wdrapywać się na drzewa. Ich zęby pokryje gruba emalia, żeby zjadać owoce, ziarna i bulwy. Rozwiną mózg o strukturze ludzkiej, ale o objętości wciąż zredukowanej.

A więc do nich należała bohaterka tej pięknej historii. Jakże delikatnie opisał ją Pierre Pelot. Widzimy ją wyraźnie: małą, kosmatą, często przykucniętą, niekiedy wyprostowaną, idącą, wdra-pującą się, przerzucającą ciało z drzewa na drzewo. Widzimy ją żartoczną, poszukującą jagodowych zarośli i roślin z pysznymi bulwami, mdli ją bowiem najmniejsza woń mięsa. Widzimy, jak pewnego dnia jeden z jej hordy, jeden z tych „o takich samych zwyczajach” jak ona używa z konieczności kamienia do obrony. Lecz przede wszystkim widzimy, jak w każdym momencie tej pięknej opowieści świta jej świadomość, rodzą się i rozkwitają pierwsze uczucia.

Przed trzema milionami lat, wreszcie, pojawia się nasz gatunek, gatunek Homo, pierwsi hominidzi, do których z kolei należy bohaterka tej opowieści. A skoro nagle pojawia się człowiek, jakie wydarzenie miało miejsce wcześniej, po którym to nastąpiło?

Tym razem był to ewenement globalny, generalne ochłodzenie na Ziemi. W Afryce wschodniej zaznaczyło się ono jeszcze większym wysuszeniem, zniknęły ostatnie kępy drzew, ustąpiły na rzecz prerii, a niekiedy pustyni. Zamiast antylop z zarośli, pojawiły się antylopy biegające, w miejsce hipparionów - konie, zamiast gryzoni drzew-nych - gryzonie ryjące, słonie zaś, nosorożce i świnie zwiększały

103

wysokość i długość zębów trzonowych, ponieważ trawa zużywa je dużo bardziej niż liście i kora.

Adaptacja hominidów do tej nowej zmiany dotyczyła mózgu i uzębienia. Tym razem ich mózg rozwija się ilościowo, świadomość wyłania się całkowicie, a w ślad za nią uczucia i ciekawość. Przekształca się również uzębienie, dieta wzbogaca się o mięso zdobywane w trakcie poszukiwań zwierzęcej padliny i polowań; wzrasta organizacja i ruchliwość. Nie ma potrzeby dodawać, że wzbogaca się zestaw narzędziowy, staje się permanentny, mnoży się i różnicuje w miarę rozwoju licznych zajęć, podczas których używane są narzędzia.

Tak więc bohater tej opowieści należał do tych z takim wigorem naszkicowanych przez Tanino Liberatore. Widzimy go wyraźnie: jest większy ód swojej kuzynki, ma bardziej płaską twarz, mniej regularne owłosienie, chodzi wyprostowany i długo, natomiast na drzewa wspina się mało i źle; łakomy na korzenie, ale także na trupy; widzimy go pośród swoich, równie licznych; uczestniczy w tle przemarszu i w nocnym czuwaniu; widzimy go, jak wyszukuje kamienie, zbiera je i ciska, żeby ćwiczyć zręczność lub odpędzić drapieżniki. A przede wszystkim widzimy go wewnątrz spokojnej, silnej, liczącej się i dobrze zorganizowanej grupy, w której ustala się permanentna świadomość: siebie samego, grupy, kogoś innego, niebezpieczeństwa, śmierci, oraz pojawiają się tak charakterystyczne dla współczesnego człowieka odczucia, jak dobroć, sympatia, zauroczenie i miłość.

Jestem pełen uznania dla talentu Pierre'a Pelota. Zdołał on dyskretnie i elegancko ożywić przed naszymi oczami kilka dni życia niektórych spośród ostatnich australopiteków (afarensis) i niektórych spośród pierwszych ludzi (habilis); związał pomiędzy nimi idyllę z bardzo wielką powściągliwością. Ogólne cechy jednych i drugich ujawniają się podczas ich zachowania, w trakcie refleksji; ich postępowanie i zwyczaje rysują się w miarę akcji. Następujący niekiedy nadzwyczajny skok świadomości ujawnia się na każdym kroku jako presja, zarazem bezlitosna i trudna.

Cóż o tym powiedzieć z naukowego punktu widzenia? Chyba to, że niektóre cechy są bezdyskusyjne, niektóre behawioryalnie możliwe; wzrost refleksji jest pewny, lecz niemożliwy do wykazania. W każdym razie opowieść jest piękna, poezja ma w niej swój udział, a prehistoria jej się nie wyprze.

104

Dyscypliny, których przedmiotem jest to, o czym opowiada się w naszej historii, dostarczają elementów odpowiedzi na pytania: „skąd przychodzę?” „dokąd idę?”. Pytania te z trwogą zadają sobie ludzie. Uspokajającej odpowiedzi usiłują na nie udzielać mity i religie, od trzech milionów lat, od chwili pojawienia się świadomości. Dzięki tym dyscyplinom dowiadujemy się tego, co jest zarazem cudowne i uspokajające, mianowicie, że człowiek jest dzieckiem gwiazd, uczestniczy w tej samej historii co Wszechświat, Ziemia, życie; dowiadujemy się dzięki nim, że człowiek pojawił się w sposób „wydarzeniowy”, we wschodniej części Afryki równikowej, ponieważ ten region świata pękł przed 8 milionami lat, wysechł przed 3 milionami lat; dowiadujemy się, że 5 miliardów ludzi zamieszkujących obecnie Ziemię ma to samo pochodzenie. Dyscypliny te uświadamiają nam także, że człowiek niewątpliwie pochodzi od zwierząt, lecz rozwijał się dzięki środowisku kulturowemu, jakie tworzył, dzięki nowym cechom: wolności i odpowiedzialności, godności i wrażliwości - to one uczyniły z małego ssaka ów dziw bez precedensu w całej historii życia.

15 miliardów lat temu ekspansja Wszechświata, 3 miliony lat temu ekspansja świadomości; to one uczyniły nas tym, czym jesteśmy. Owe dyscypliny nadają sens naszej naturze, opisując przeszłość pozwalają przewidywać i kontrolować przyszłość. Uczą, jak narodziła się nasza ciekawość i w jaki sposób się rozwijała. Dyscypliny te tłumaczą również, że nieubłagane potoczą się nasze poszukiwania w dziedzinie genetyki i fizyki jądrowej, badań przestrzeni i kolonizacji galaktyk. Ale także wyjaśniają, w jaki sposób społeczeństwa - rozprzestrzeniające się po całym świecie - będą coraz lepiej zorganizowane i

zabezpieczone przed przedsięwzięcia–mi uznanymi za szkodliwe. Wyjaśniają, że pewnego rodzaju po–krewieństwo łączy wszystkie żywe stworzenia, że biosfera jest być może unikatowa i że wobec tego trzeba nauczyć się dbać o nią, nawet jeśli pewnego dnia się ją porzuca. Uczą nas jeszcze i tego, że przeznaczeniem ludzkości może być zagłada pod wpływem zjawisk kosmicznych, procesów biologicznych, a nawet fatalnych poczynań człowieka, a więc że nasze panowanie może się skończyć lub - po silnym zahamowaniu - znowu odżyć po jakimś czasie, na podstawie naturalnej selekcji. Nasze środowisko kulturowe okazało się nie–zdolne do szybkości i skuteczności, jaka byłaby wymagana. Owe

105

dyscypliny, w ogromnej perspektywie, pouczają nas skromnie, by spoglądać w przyszłość bez lęku i nostalgii i chronić naszą Ziemię, a wkrótce i nasz zdumiewający Wszechświat.

Ograniczając się tym razem do epoki współczesnej, należy dodać, że przynosząc znajomość wszystkich kultur, jakie istniały i następowały po sobie od chwili wytwarzania pierwszych narzędzi zapewne przez praludzi 3 miliony lat temu, owe dyscypliny umożliwiają wniknięcie w nowy renesans, jeszcze niedostatecznie uświadomiony przez uniwersalny humanizm. Wystarczyło, aby w XV i XVI stuleciu w Europie odkryto klasyczną starożytność, aby narodził się ten zdumiewający i płodny okres zwany renesansem. Znajdujemy się w takim momencie, mamy przywilej otrzymania całego bogactwa wszystkich informacji, wszystkich wynalazków, wszystkich dokonań, wszystkich cywilizacji świata albo prawie - nawet jeżeli kilku nam brakuje. Posiadamy też luksus możliwości posługiwania się nimi wedle uznania. Współczesna kultura światowa końca tego tysiąclecia ma tylko jedną możliwość - czerpać z tego. Spojrzenie wstecz może ją jedynie wzbogacić i nasycić. Jesteśmy w trakcie przeżywania tej wielkiej epoki, oczywiście w sposób częściowo nieświadomy.

Czytelnikowi nie obeznanemu z tym zagadnieniem przypomniemy, że ekspedycja, którą kierowali wspólnie francuski geolog Maurice Taieb, amerykański paleoantropolog Donald Johanson i paleontolog francuski - czyli ja we własnej osobie - odkryła w etiopskim Afarze, w latach 1973-1977, ponad 300 szczątków szkieletów przodków człowieka sprzed 3 milionów lat. Wśród tych szczątków, współczesnych sobie, wyróżniliśmy nowego praczłowieka - Australopithecus afarensis, nazwanego tak w 1978 roku przez Donalda Johansona, Tima White'a i przeze mnie. —x

Australopithecus afarensis, reprezentowany przez 52 fragmenty tego samego osobnika prawdopodobnie płci żeńskiej, zastynął pod imieniem Lucy. Rozpoznaliśmy także przypuszczalnie człowieka Homo habilis (?). Wbrew różnicy poglądów - co jest cechą nauki w fazie opracowywania materiałów - na temat realności tej koegzystencji, pozycji tych hominidów na naszym drzewie genea–logicznym, analizy niektórych z ich kości i wynikającej z niej interpretacji odnośnie do niektórych ich zachowań, osobiście uważam, że ci dwaj przodkowie są rzeczywiście reprezentowani

106

w naszej kolekcji, że żyli obok siebie w tamtej krainie, w tamtej epoce, i że ich cechy były wystarczająco zróżnicowane, by mówić raczej o pokrewieństwie niż po prostu o prawdziwym pochodzeniu.

Pomysł tej książki wziął się z dwu powodów. Po pierwsze - pojawienie się Lucy, która stała się symbolem pochodzenia i ewolucji człowieka. Po drugie - wyłonienie z mroku dziejów tego dziwnego okresu, gdy współistniały dwa hominidy odmiennej natury, obydwa w trakcie wzrostu świadomości. W istocie była to wielka epoka naszych dziejów, bardzo dziwna, oczywiście oglądana z perspektywy naszego tysiąclecia. Jednakże jej istnienie nie może ulegać wątpliwości, jakkolwiek możliwe są debaty dotyczące samych szczegółów. Toteż wyrażam uznanie dla inicjatywy dyrekcji Fundacji 93, która mobilizowała pisarza, rysownika i naukowca. Dziękuję Pierre'owi Pelot i Tanino Liberatore, że zechcieli czytać i słuchać, uwzględniać niektóre dane, interpretować inne i wprowadzać akurat tyle inwencji, aby całość wypadła wspaniale, oryginalnie - barwna i wrażliwa, po prostu piękna. Któż naprawdę może powiedzieć, że ta historia nie jest opowieścią o rzeczywistym fakcie?

Yves Coppens profesor w College de France